EPOKA

ROK III. Warszawa, 5 listopada 1936 r. Rok, III Nr. 11 (76)

Treść numeru:

KTO LĘKA SIĘ PRAWDY?

Czy społeczeństwo czułoby się dobrze i rozwijałoby się pomyślnie w powietrzu zdezynfekowanym z miazmatów kłamstwa, z perfum nadmiernie dobrego mniemania o sobie? Czy może pewien zastrzyk kłamstwa, iluzji, legendy jest zawsze niezbędny, a specjalnie w chwilach ciężkich, dla organizmów osłabionych chorobą, którym lekarskie wskazówki nakazują uciekać od rzeczywistości, sztucznie tworzyć odcięty od świata klimat wewnętrzny, jakąś niezbędną euforię? Jakie porcje prawdy produkować i konsumować? Pełna porcja prawdy, czy po łyżeczce?

Stary Ibsen, zmarły 30 lat temu, interesował się specjalnie tym problemem. W różnych swoich sztukach stawiał go i rozwiązywał w sposób odmienny. Taki jednak morał można wyciągnąć z jego produkcji: prawda znośna jest, strawna, pożyteczna dla organizmów mocnych, dla ludzi, którzy umieją stać na własnych nogach. Dla słabych prawda, zwłaszcza nieoczekiwana i gwałtowna, może być zabójcza. W takim postawieniu sprawy jest wiele słuszności. Lukę między dwiema skrajnymi alternatywami, prawdy pełnej i prawdy stosowanej, możnaby wypełnić wskazówką, że skoro znoszenie prawdy jest znamieniem siły, rysem zasadniczym pełnej i wolnej jednostki jak i zbiorowości, to należy dbać o higienę w tej dziedzinie, wzmacniać organizm, uszlachetniać człowieka aplikowaniem prawdy w możliwie wielkich dawkach.

Mocni nie boją się prawdy o sobie. Słaby człowiek, słabe społeczeństwo ma masę duchowych nagniotków, obciążone jest olbrzymią ilością najrozmaitszych tabu, których nie wolno poruszać, o których nie wolno mówić. Anglicy, Francuzi, Amerykanie nie boją się prawdy. W angielskiej prasie nie napotykamy wywodów na temat mocarstwowości brytyjskiej, mądrości rządów, wielkości narodu. Lecz przeciwnie, pisze się tam, że Anglicy są narodem małointeligentnym (stary G. B. Shaw wyspecjalizował się w powtarzaniu tego twierdzenia), pisze się, że imperium schodzi na psy i przypomina starą bryczkę na wyboistej drodze, która cudem tylko posuwa się naprzód i nie rozpada w kawałki.

Politycy kierujący lubią zazwyczaj uchodzić za nieomylnych i co gorsze, czasem naprawdę wierzą w swoją nieomylność. Uderzającym wobec tego było lakoniczne szczere, pełne skruchy przyznanie się ówczesnego angielskiego ministra spraw zagranicznych

sir Samuela Hoare w trakcie rozpatrywania sprawy abisyńskiej w Izbie deputowanych: „Pomyliłem się"! Były to słowa pożegnania, gdyż minister ustąpił, ale sala była wzruszona, opinia oddała hołd prawdomówności polityka, który nie mylił się jednakowoż w tym stopniu, jak wtedy przypuszczano, i dziś z kapitałem większego jeszcze szacunku i zaufania wraca do pierwszego rzędu mężów stanu swego kraju. Podobnie zachował się giętki, miękki i miły jego następca na posterunku kierownika polityki zagranicznej, p. Antoni Eden. W chwili gdy zwycięski dla Włoch wynik wojny abisyńskiej stał się faktem, powiedział w Izbie deputowanych: „Anglia poniosła klęskę i musi zrewidować swoją politykę". Pokonana prawdomówna Anglia jest sto razy silniejsza od tych, którzy we własnych oczach nigdy nie ponieśli klęski.

Wziąć do ręki parę dzienników francuskich, a włosy gotowe stanąć na głowie przyjacielowi Francji niedostatecznie obznajmionemu z psychologią tego narodu. Pisma opozycyjne używają barw jak najczarniejszych. Według ich relacji najbogatszy mimo wszystko kraj świata nie będzie miał jutro co do ust włożyć, armia jest słaba, rząd kretyński i zbrodniczy, a wrogowie mogą sięgnąć po Francję, jako po owoc dojrzały i bezbronny. Flegmatyczna prawdomówność angielska znajduje swój odpowiednik w karykaturze francuskiej, pełnej impetu nienawiści, która przeciwstawia się oficjalnej rzeczywistości w sposób tak silny, że aż przesadny i fałszywy. Czytając te polemiki, dyskusje, oświadczenia, zapominamy o tym, że mamy do czynienia z jednym z największych mocarstw świata, świetnie uzbrojonym, niesłychanie bogatym, wyposażonym w ogromne imperium kolonialne — wydaje się, że oto chylący się do upadku kraj degeneratów i demagogów rozdziera się własnymi rękami. Przedwojenne Niemcy padły ofiarą tej zgubnej iluzji, nie liczyły się z olbrzymią masą patriotyzmu, narodowej solidarności, genialnej improwizacji i wytrzymałości, tkwiącą za karykaturą, dzieckiem narodowego temperamentu, nerwowej pobudliwości i polemicznego czarnowidztwa.

Podobnie w Ameryce. Najświetniejsi pisarze tego kontynentu, Dreiser, Upton Sinclair, Sinclair Lewis, John Dos Passos przedstawiają nam niestrudzenie swój kraj jako kolosa na glinianych nogach, pełnego zgnilizny, korupcji, świętoszkowatości, ciemnoty.

Przeciwstawmy temu z zażenowaniem i wstydem hałaśliwe i puste elukubracje tylu naszych propagandyzujących, sprzedających się, cynicznych pismaków na temat najrozmaitszych triumfów mocarstwowych, dyplomatycznych, kulturalnych, sportowych, finansowych i t. d. I popatrzmy co się po za tym kryje, co po tym wszystkim zostało i kto się tu dał wziąć na kawał? Propaganda nie oparta o żadną rzeczywistość zawisła w powietrzu, frazes skurczył się, wyblakł i poplamił, jak sukno chorągwi, wystawianej zbyt często, superlatywy zdewaluowały się i straciły wszelką wartość. W powietrzu pozostał swąd, a w ustach gorycz i niesmak.

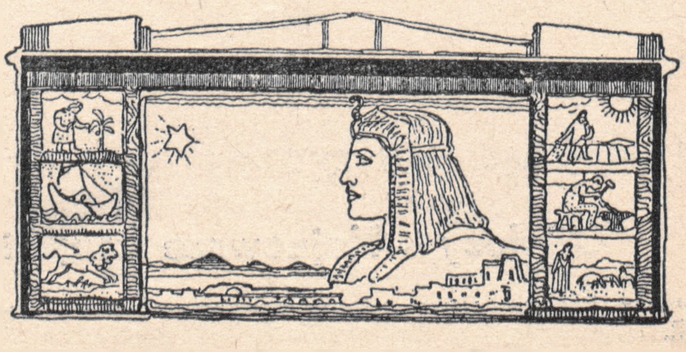
Mówiliśmy dotąd o zbiorowej konsumcji prawdy i możemy zakończyć konkluzją, że skoro silny nie boi się prawdy, to wojowanie z prawdą musi być dowodem słabości. Pocieszające stwierdzenie, gdyż nikt inny jak ustroje dyktatorskie są olbrzymiemi fabrykami iluzyj, legend, kłamstw i nikt mocniej od nich nie zwalcza prawdy, skąd kolwiek by ona pochodziła, z zewnątrz czy z wewnątrz. Ściga się ją, tropi, zabija wszelkimi możliwymi sposobami, od zamykania granic dla obcej prasy i literatury, aż do więzień, obozów koncentracyjnych i placów egzekucyj dla tych nie obywateli, ale poddanych i niewolników, którzy ośmielą się nie wierzyć w oficjalne kłamstwo, wyposażone w atrybuty i siłę wykonawczą władzy.

Na polu twórczości duchowej, literatury zaś przede wszystkim, problem prawdy zarysowuje się w sposób analogiczny. W Anglii po za kwestiami seksualnymi — a i tu szereg pionierów, jak Oskar Wilde, jak Lawrence, uczynił poważne wyłomy — nie ma tu tabu, nie ma tematów, których poruszenie groziłoby odwetem ze strony chorobliwej, słabeuszowskiej megalomanii. Filip Gibbs pisze powieść na temat powstania irlandzkiego w czasie wojny, rozdziela światła i cienie, przy czym przewaga światła pada na stronę Irlandii. Aldous Huxley zadaje sobie pytanie, na czym polega przewaga rasy białej nad kolorowymi i jakim prawem Anglia uzurpuje sobie władzę nad olbrzymimi Indiami ?We Francji najgłośniejsi z pośród młodszych pisarzy, Celine i Guilloux, rozważają otwarcie i szczerze stosunek jednostki do wojny i patriotyzmu i nawet najbardziej reakcyjni pisarze i krytycy oddają hołd ich talentowi i odwadze. Słowo nie lęka się rzeczywistości, rzeczywistość nie boi się słowa.

A my przypomnijmy sobie haniebne i kompromitujące kampanie przeciw „Przedwiośniu" Żeromskiego, a ostatnio przeciw „Zmorom" Zegadłowicza, nie równając ich zresztą ze sobą. Jest to tak, jak gdybyśmy nie chcieli widzieć prawdy realnej i artystycznej i nie chcieli się zastanawiać nad najważniejszymi zagadnieniami bytu jednostkowgo i zbiorowego. Odnosi się wrażenie, że nie wystarczą nam okowy rzucone z zewnątrz na twórczość, gdyż w każdej chwili, na każdy alarm znajdą się tuziny dobrowolnych cenzorów, gnębicieli wolności, tępicieli prawdy z wyrachowania, czy z amatorstwa.

Produkcja literacka i publicystyczna staje się w takich warunkach uciążliwym, upokarzającym tańcem wśród najrozmaitszych tabu, równa się ustawicznemu zginaniu grzbietu i codziennej przymusowej rezygnacji z części niewypowiedzianej prawdy, części własnej godności ludzkiej.

Nie wolno nam w takich chwilach zapominać, że wyprostowanie grzbietu, rzucenie rękawicy kłamstwu jest jedynym środkiem zaradczym, oczyszczającym atmosferę, zarówno wewnętrzną, jak zewnętrzną. Najwięksi nasi pisarze, Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Żeromski, byli bezkompromisowymi, upartymi głosicielami prawdy wbrew wszystkim i wszystkiemu. Nie na drodze kompromisu z kłamstwem, lecz na polu bitwy o pełną prawdę broni się godności własnej i tworzy się wielkość zbiorową.



SPOTKANIE INTELIGENTA Z CHŁOPEM

Wiemy już*), jakie czynniki złożyły się na wzniesienie i obwarowanie tego muru, który chłopa, przykutego do roli, a przede wszystkim do nędzy wiejskiej, oddzielił od pozostałych klas społecznych, nie wyłączając i klasy inteligenckiej.

Tu, między wsią chłopską a inteligencją miejską, mur fałszu, być może, utrwalił się najpotężniej, wypiętrzył się najokazalej, najdotkliwiej też obu stronom miał z czasem dać się we znaki. Chłop urojony tak dalece zastąpił w opinii inteligenckiej chłopa rzeczywistego, że między jedną stroną, a drugą nastąpiło, rzec można, pomięszanie języków, uchylające możność jakiegokolwiek porozumienia. Inteligent i chłop — to dwa światy odrębne, które nie rozumieją się i nie odczuwają się nawzajem. Tak jest w Polsce. Ale tak samo jest i gdzieindziej. Znakomity pisarz włoski (na emigracji), Ignacy Silone, w słynnej powieści swej p. n. „Fontamara", pisze: (cytuję z pamięci) „Chłopi włoscy umieli wybornie porozumieć się z chłopami z nad brzegów Pacyfiku, ale z rodzimą inteligencją w swoim własnym kraju dogadać się nie mogli".

Do uwagi pisarza włoskiego dodam od siebie, że o ile chłopu z chłopem i chłopu z robotnikiem porozumieć się bywa bardzo łatwo, o tyle sprawa się wikła, gdy zamiast robotników albo w ich imieniu przemawiają ich przywódcy. Sprawa wikła się nawet wtedy, gdy między obu tymi odłamami świata pracy istnieje szczera chęć współdziałania, gdy jedni i drudzy wzajemnie się poszukują. Trudności, które wywiązują się na drodze zamierzonego i pożądanego porozumienia, powstają stąd, że przywódcy robotników, są to zazwyczaj ludzie, którzy przeszli szkołę inteligencką: naczytali się i nasłuchali mitologii, fałszującej byt i charakter chłopa. Cóż dziwnego, że najradykalniejszy działacz robotniczy, stanąwszy w progach chałupy wiejskiej, zaczyna od sakramentalnego pytania: „Jakże tam, gospodarzu, urodzaj mieliście dobry? Krowy czy nie chorują? A jak tam podatki — ciężkie?" Pytanie takie, oklepane, jak pacierz, wyrażać ma najprostszą drogę do wkupienia się w troski drobnego rolnika, ubogie i ciasne, lecz rzekomo jedyne, które go roznamiętniają. W takim podejściu do chłopa — ileż tkwi pogardy i poniżenia dla człowieka!

Wszak ów „urodzaj", mający stanowić tak kuszący, wszechogarniający temat dla chłopa, to nieraz — wszystko zebrawszy razem — dziesięć lub piętnaście korcy żyta. Cały przedmiot rozmowy z góry więc staje się dla chłopa jałowy i pusty: przy takim bowiem bogactwie „urodzaju" chłop jest już nie gospodarzem, lecz wyrobnikiem i proletariuszem.

Pomińmy wszakże samą jałowość rozmowy; jałowość, z której chłop wyśmienicie zdaje sobie sprawę i gościa, zabiegającego w ten sposób o wątek wspólnych zainteresowań, odrazu zalicza między „głupich panków", co to „na niczym się nie znają, a byle czego się cieszą". Ważniejszą i dotkliwszą rzeczą jest to, że inteligencja, stykając się z chłopem, boi się otwarcie głosić mu swych przekonań: boi się, gdyż sądzi, że chłop ich nie zrozumie lub może się poczuć nimi urażony.

Od zarania odzyskanej niepodległości przywódcy socjalizmu w Polsce nie ośmielili się ponieść idei swej między chłopów. Na wiecach swych wzywali drobnych rolników do głosowania na posłów „Wyzwolenia", nie zaś na listy P.P.S. To też początkowo, w latach 1919 — 1920, wydawało się wielu chłopom, że dziwna wstrzemięźliwość socjalistów na na wiejskim terenie jest tylko chwilowym wybiegiem strategicznym: sądzili oni, że „Wyzwolenie" zostało umyślnie od P.P.S. oderwane i wyosobnione w tym celu, aby zapobiec niesumiennej agitacji kleru, który straszył chłopów „socjalizacją gruntów i kobiet".

Brak ze strony obozu socjalistycznego głębszej pracy podstawowej w dziedzinie stosunków agrarnych, pracy, którąby ukazała głębokie zmiany, wywołane przez wojnę światową, dowodzi uporczywego w tym obozie mniemania, że „nie ma co zawracać sobie głowy chłopami". Pisma socjalistyczne — co prawda — wspominają od czasu do czasu, że „chłopi idą na lewo"... Ale te luźne notatki, przypominające spostrzeżenia meteorologiczne, czyż mogą mieć znaczenie poważniejsze, niż czyjeś dowolne rozważania na temat: „będzie jutro pogoda, czy deszcz?"

A przecież kto, jak kto, ale obóz socjalistyczny, jest w posiadaniu najwnikliwszej metody badania stosunków społecznych i w niejednej tych stosunków dziedzinie osiąga zdumiewające wyniki. Czemu nie bierze na warsztat sprawy chłopskiej? Czemu zatrzymuje się u progów wsi?

Jakże to się stało? Jakież to zapory i zasłony sprawiają, że ludzie bystrym obdarzeni wzrokiem i w niepospolity wyposażeni instrument badania, nie widzą tego, co stanowi rzeczywistość chłopską, a co niezmiernie szybko postępuje naprzód, nie mając nic wspólnego z tym, w co się wierzy i powszechnie głosi?

Jest rzeczą zdumiewającą — choć ileż razy stwierdzoną? — że wobec osaczających nas zagadnień najprostsze rozwiązania przychodzą — na ostatku. Cóż bowiem prostszego — gdy chodzi o pochodzenie tego fałszu, który zaciążył na stosunku inteligencji do chłopa — jeśli nie przypuszczenie, że to ciąży nad nim niewyparta dotychczas, niepokonana i niewytrawiona z kultury naszej stara tradycja pańszczyźniana. A jednak myśl tak prosta nikomu jakoś do głowy nie przychodzi. Nikt nie śpieszy się z przyznaniem, że to od tamtych, pańszczyźnianych czasów piętrzą się owe zapory, snują się owe zasłony, *które uniemożliwiają zobaczenie prawdy.* Jak widać z nadmienionej już wyżej powieści Ignacego Silone, owe zapory i zasłony mają zasiąg międzynarodowy: umacnia nas to w przekonaniu, że stanowią one rekwizyt głęboko założony w podstawie całego ustroju społecznego.

Formy tych zasłon oraz sposoby, jakiemi zostały one w różnych krajach narzucone, są — rzecz prosta — rozmaite. Nie wszędzie też były one narzucane wedle z góry obmyślonego planu. We Francji, gdzie Wielka Rewolucja do głębi przeorała stosunki i odrazu wyniosła mieszczaństwo ku szczytom władzy, dolę chłopów spowito hymnami o ich szczególnej szczęśliwości, płynącej z mistycznego związku z ziemią. Formy osłon, zastosowane we Włoszech

*) Patrz artykuł mój w n-rze 10 „Epoki" p. t. „Chłop w jarzmie mitologii".

i w dawnej Rosji, są najbliższe formom polskim. Nimi też z kolei wypada mi się zająć i oświetlić je.

Po uwłaszczeniu chłopów ziemiaństwo w Polsce, jak wiemy, ani na jotę nie zmieniło swego stosunku do chłopów. Przeciwnie: niechęć i nienawiść obszarnicza do chłopstwa jeszcze się wzmogła. Ziemiaństwo jęło się mścić na chłopie za to, że od obcych rządów uzyskał on to, czego nie otrzymał od swoich, a co otrzymać był powinien w imię najświętszych przykazań ojczystej racji stanu. W parze z mściwą nienawiścią szła w szeregach ziemiańskich zupełna niezdolność zrozumienia przeobrażeń, zachodzących w świecie. Obszarnicy — pozbawieni darmowej pracy włościjan — czuli się zagrożeni w posiadaniu swych dóbr, zagrożeni w sprawowaniu roli kierowniczej w społeczeństwie. To, co było koniecznością historyczną, a przede wszystkim aktem sprawiedliwości społecznej — aktem spóźnionym i ułatwionym, lecz nieuniknionym — odczuli jako krzywdę i zniewagę osobistą. To zaś odczucie pchało ich do ciągłych zatargów z chłopami, do kasowania im dojazdów do pól, a w ten sposób do wymuszania na nich rezygnacji z lepszych kawałków roli. Lasy i pastwiska stały się w dobie popowstaniowej niewygasającym zarzewiem starć i procesów między dworem pańskim, a wsią chłopską. *Chłop poniżał się wobec komisarza moskiewskiego, którego błagał o pomoc przeciw dworowi; dwór poniżał się jeszcze bardziej, przekupując obcego komisarza przeciw chłopu-rodakowi.* Zwolna wybijające się wśród obszarnictwa hasło „ani piędzi ziemi chamom" — staje się coraz powszechniejsze, staje się jakby odwetem szlachty za przegrane powstanie. Ziemiaństwo polskie, które niegdyś — przed pierwszym powstaniem — cały niemal obszar Rzeczypospolitej bez wystrzału oddało na łup zaborców, teraz — po klęsce wszystkich trzech powstań — do heroicznego stanęło boju o ziemię... z chłopem polskim.

A cóż w tym okresie — w tych latach najczarniejszej, zaiste, sromoty — czyni mieszczaństwo polskie? Czy czuje ucisk sromoty? Czy sięga po rolę arbitra między zacietrzewionym obszarnikiem, a upokorzonym chłopem? Bezradne, zahukane mieszczaństwo, zasilane ale i demoralizowane dopływem szlachty, wysadzanej z siodła, nie śmie zamarzyć o jakiejś samodzielnej roli społecznej. Stać je co najwyżej na rolę pochlebców i lizusów wobec „posesjonatów", siedzących jeszcze na fortunach. Pod przewodem tych ostatnich bierze ono żywy udział w nagance na chłopów, powtarzając za opinią obszarniczą, że „sprzedali się carowi i zdradzili Polskę". Z lekkiej ręki mieszczaństwa chłop staje się motywem zabawy i pośmiewiskiem dla niewybrednych gustów sfery rzemieślniczej i kupieckiej. Ileż to w owym okresie powstało na temat chłopski drwiących anegdot, uszczypliwych pogwarek i bezmyślnego szyderstwa! W literaturze, w sztuce, w humorystyce roiło się od żartów z chłopa. Ku uciesze gawiedzi wymyślano szczególne narzecze, szczególną jakby tonację językową, mającą naśladować, a zarazem przedrzeźniać gwarę wieśniaczą. Wystąpili z pod ciemnej gwiazdy wierszopisi, którzy wyrabiali facecje, piosenki i dowcipy, ośmieszające chłopów. Wiele z tych „wyrobów" pospolitej muzy przechowało się do naszych czasów, awansowało nawet do rangi folkloru chłopskiego, który jako „perły twórczości ludowej" podaje nam dziś jeszcze Polskie Radio.

Na kilka lat przed wojną ta naganka kpiarstwa, wskutek wyczerpania inwencji, traci swą ostrość; przestaje być duchową pożywką mieszczucha. Zachodzi potrzeba nowych środków, mogących degradować, oraz izolować chłopa, jako upośledzony i niższy gatunek ludzki. Powstanie tedy cały repertuar fałszywych rad i złośliwych psot, zalecanych chłopom, albo kierowanych przeciwko nim w niedwuznacznym celu wykazania ich prostactwa, ślepoty i barbarzyństwa. Chłop, dajmy na to, cierpi na ból zęba. Nie słyszał on o dentyście, więc posyła po kowala. Ten chwyta ząb obcęgami, a jednocześnie podsuwa chłopu pod nos rozpalone żelazo: pacjent odskakuje raptem, ząb zostaje w obcęgach. Podobnych figlów możnaby naliczyć setki. Nędza chłopska, której brakło pół rubla na wyrwanie zęba, której brakło pieniędzy na lekarza i adwokata, występuje w tych figlach, jako niezawodna ofiara swego ubóstwa jednocześnie i materialnego i umysłowego. Mieszczaństwo, a w jego łonie inteligencja zawodowa wystawia chłopu w tych psotach świadectwo bezdennej niemrawości. Zgodnie z tym świadectwem, każde, choćby najdziwaczniejsze zjawisko, będące w życiu chłopstwa wyjątkiem, przenosi się mechanicznie na ogół chłopów: wszystkich mierzy się miarą, wziętą z wyjątkowego okazu nieuctwa lub zaniedbania. To, że dzieci chłopskie, o ile przedostały się do szkoły średniej, nie miały prawa towarzyszyć swym kolegom ze stanu szlachecko-mieszczańskiego, było już wnioskiem, płynącym z zasady ogólnej.

Gdy po takim „wychowaniu" chłopi nie kwapili się do udziału w masowych pochodach nacjonalistycznych, przez obszarników i mieszczan organizowanych w r. 1905 po miastach i miasteczkach, patriotyczny gniew ogarnął organizatorów: „Huzia na chama! Chamy do gnoju!" — oto okrzyki, w których tryumfowało ich poczucie wyższości i „narodowego posłannictwa". Z osobistych wspomnień niechaj wolno mi będzie zanotować bójki masowe, jakie w niejednej osadzie, po założeniu Polskiej Macierzy Szkolnej, wybuchały między dziećmi mieszczan, uczęszczającymi do szkół Macierzy, a dziećmi chłopskimi, pozostałymi w szkole rosyjskiej. „Kacapy" i „maciorniki" walczyły ze sobą na pięści, kije i kamienie, jak dwa wrogie szczepy, osiedlone na jednym terenie.

Takim to na ogół trybem szło „unaradawianie" chłopów przez obszarników i mieszczan, aż do wojny światowej. Był okres, że chłopów zniesławiano i za to, że nie łączyli się z bojkotem Żydów, głoszonym przez endecję. Byliśmy świadkami miotania przez obóz Dmowskiego na chłopów najwulgarniejszych wyzwisk za „wysługiwanie" się Żydom. „Cham nic nie chce — wołano — tylko ziemi!" A więc znowu: huzia na chama w obronie dziedzica... i Polski!

Ponieważ nikt samodzielnie stosunków wiejskich nie badał, przeto obszarnik i mieszczuch stanowili jedyną transmisję wiedzy o chłopie dla miast i wielkich ognisk kultury. Zaufanie do wywodów budzili tym, że „żyją przecież między chłopami, a więc muszą ich znać". Gdy zjawił się we wsi inteligent wielkomiejski, z góry już bywał *au courant* wszystkiego: dostrzegał to tylko, co mieściło się w ramach jego mitologii, dotyczącej chłopa. Do ludzi dojrzałych, do ojca i matki, przemawiał językiem siedmioletniego dziecka. Uszczuplał i pomniej-

szał sam siebie, aby owej mitologii nie rozsadzić. Uszczuplał i pomniejszał siebie, z uwagi bądź na domniemaną głupotę chłopstwa, bądź też z obawy przed podrażnieniem w chłopie domniemanej bestii dzikiej, a nieobliczalnej. Zaufania chłopów, oczywiście, nie zdobył i zdobyć w ten sposób nie mógł. Za to w pełni zasłużył sobie u nich na przydomek „głupiego panka".

W takich warunkach i z takim wynikiem odbyło się w Polsce przed wojną światową spotkanie inteligenta z chłopem.

Władysław Kowalski.

Z DNIA NA DZIEŃ

NAKAZ OBOWIĄZKU

Niezależnie od tego, jak się ocenia i z jakiego stanowiska ujmuje wszystkie złowrogie zjawiska, wynikające z ustroju społecznego, pogłębiać trzeba w społeczeństwie świadomość grozy klęsk społecznych, oraz wpływać na łagodzenie skutków stąd płynących i pogrążających w niedoli i rozpaczy setki tysięcy bezrobotnych i wydziedziczonych. Wprawdzie i dotychczas najróżniejsze instytucje opieki społecznej, stowarzyszenia dobroczynne i organy samorządowe niosły pewną pomoc bezrobotnym, ale wysiłki podejmowane w tym kierunku były rozstrzelone, bezplanowe.

Dodatni zwrot, zainicjowany obecnie, zdaje się świadczyć, że akcja pomocy zimowej bezrobotnym ujęta będzie w ramy organizacji i oparta na zasadach celowości i koordynacji wysiłków zbiorowych. Zmienią się wtedy nie tylko metody pracy w tym kierunku, ale także i motywy tej pracy, które zamiast nietrwałych i kapryśnych pobudek litości, wprowadzą poczucie powszechnego obowiązku społecznego. Istota tego obowiązku jest tutaj taka sama jak np. w obliczu klęski powodzi, kiedy tysiące ofiar niszczącego żywiołu liczyć musi i liczyć ma prawo na pomoc reszty społeczeństwa, niedotkniętego bezpośrednio katastrofą.

Do rzędu dodatkowych powinności publicznych zaliczyć dziś trzeba pobudzanie obojętnych, opieszałych, mało uspołecznionych żywiołów. Oporne sobkostwo przez zbiorowy nacisk moralny może być zmuszone do pewnych wyrzeczeń w imię dobra ogólnego.

TAJEMNICE PUŁK. KOCA

Im więcej politycznej tajemnicy, tym więcej pogłosek, zmyśleń, plotek.

Od szeregu miesięcy przygotowuje pułk. Adam Koc plan działania nowego obozu politycznego. Społeczeństwo nie jest powiadomione ani o programie, ani o organizacji nowego obozu, tylko od czasu do czasu czytamy zaprzeczenie różnym w tej sprawie domniemaniom. Ogłoszony przed kilkoma dniami szemat organizacyjny nowego obozu ma być również nieprawdziwy.

Przygotowania i zapowiedzi trwające blisko pół roku, to przy dzisiejszym tempie życia politycznego wyjątkowa, rzadko spotykana, rzec można — orginalna cierpliwość. W tak długotrwałym okresie przygotowań życie samo podsuwa różne zmiany w planie działania, zbyt tedy wielka cierpliwość i zbyt intensywna zaduma mogłyby sprawić, że cała energia myślowa zużyta tu będzie na „aktualizowanie" planu bez jakiejkolwiek akcji realnej.

Kunktatorstwo takie możliwe jest tylko przy biurku, zdala od żywiołów politycznie aktywnych i związanych silniejszymi węzłami z życiem, dążeniami, pragnieniami społeczeństwa.

Podobno już „lada dzień" pułk. Koc rzecz całą ogłosi, przynaglony niezdrowymi — jak powiada — plotkami. Nasze „koła polityczne" już niejako przyzwyczajone do czekania na decyzję pułk. Koca, mogą poczekać jeszcze kilka dni.

Goniec Warszawski, najwięcej o tej sprawie piszący, codziennie podsyca jej „sensacyjność". Złośliwi powiadają, że *Goniec Warszawski* świadomie przygotowuje w ten sposób... rozczarowanie, które może być — zdaniem tego pisma — tym głębsze, im większą wagę przypisze się okresowi tajemniczych dotychczas przygotowań.

ENDECJA CZCI MASONÓW

W kilku pismach zamieszczono wiadomość o tym, że generałowie, którzy wywołali wojnę domową w Hiszpanii, należą do hiszpańskiej masonerii. Wiadomość ta jest ścisła. Wyżsi oficerowie hiszpańscy od dawien dawna należeli do loży wolnomularskiej, której wielkim mistrzem był Alfons XIII. Po detronizacji Alfonsa, dzisiejsi przywódcy rebelii, gen. Franco, Mola, Quiepo del Liano, zajmowali nadal w wolnomularstwie hiszpańskim wysokie stanowiska.

Tak więc nasi endecy, tudzież najwybitniejsi przedstawiciele kleru składają nieustannie wyrazy hołdu... masonom. Jedno z trojga: albo nie wiedzą, kogo wielbią, albo wiedzą, ukrywając prawdę przed swoimi słuchaczami i czytelnikami, albo też uważają, że dobry i mason, jeżeli tylko współdziała we wzmocnieniu międzynarodowego frontu faszystowskiego.

Jak się każda z tych możliwości godzi z łączeniem wszechświatowej masonerii z... komunizmem, to już jest jedna z tajemnic wciąż rosnącego chaosu pojęć, coraz większej... pomysłowości kłamstwa i coraz bujniej „rozbudowanej" maskarady politycznej.

NIECH TO POWIEDZĄ OTWARCIE...

Marszałek Józef Piłsudski całe życie walczył z endecją, z jej szowinizmem, z jej moralnością, z jej wyobrażeniami politycznymi. Zarówno w sprawach polityki wewnętrznej, jak i na terenie polityki zagranicznej reprezentował poglądy biegunowo przeciwległe programowi endeckiemu. Wszyscy więc ci, którzy dziś zbliżają się do tego programu, niszczą testament ideowy Józefa Piłsudskiego. Jeśli przy tym głoszą, że działają nadal pod znakiem Jego idei, kłamią, zamydlają oczy, grają komedię, nie mając odwagi wyznać otwarcie, że za drogowskazami Piłsudskiego już nie idą.

ZNOWU AWANTURY

Zwyczajem dorocznym ciemna zgraja rozpoczęła harce antysemickie na progu nowego roku akademickiego. Dn. 20-go października w Szkole Głównej Handlowej po wykładzie prof. Jarry kilkunastu „miłośników wiedzy" wszczęło awantury, domagając się usunięcia studentów Żydów z murów uczelni. Dla uświetnienia kanibalskiego dorocznego obrzędu zapalono świece dymne i rozległy się wycia bitewne, wzywające do bicia Żydów. Uciekających okładano pałkami i kastetami, jednego zaś studenta raniono nożem. Rektor S. G. H. prof. Miklaszewski i prof. Sujkowski usiłowali przy pomocy woźnych położyć kres bestialstwu, ale nadaremnie. Bohaterowie noża pobili do krwi jednego z woźnych i zajęli groźną postawę wobec Rektora i prof. Sujkowskiego, wyzywając ich od „bezbożników". Dopiero wobec zdecydowanego zachowania się większości młodzieży, zgorszonej zajściami i nawoływaniem awanturników do bicia szyb i demolowania gablotek Rektora, zgraja ta, profanująca przybytek nauki, musia-

ła ustąpić z S. G. H. Mimo to Rektor uznał za konieczne wykłady zawiesić.

Po paru dniach doszło do jeszcze gorszych awantur antysemickich na S.G.H.

Niemal jednocześnie próbowano wywołać zamieszki antysemickie na Politechnice, ale z mniejszym powodzeniem.

Rzeczą konieczną jest coraz mocniej wspierać moralnie te odłamy polskiej młodzieży akademickiej, które mają poczucie godności własnej, pragną ciągłości pracy naukowej i gardzą awanturnikami.

W notatce p. t. „Dyscyplinarki" pisze *Warszawski Dziennik Narodowy:*

„Na wyższych uczelniach warszawskich istnieje pewna sprawa, wymagająca załatwienia, zgodnego z poczuciem słuszności całego społeczeństwa akademickiego.

Chodzi tu mianowicie o sprawę t. zw. dyscyplinarek, wytoczonych całemu szeregowi studentów po znanych zeszłorocznych zajściach antyżydowskich.

Dziś, gdy stanowisko młodzieży w sprawie żydowskiej zostało uznane przez całe społeczeństwo polskie, gdy nawet czynniki oficjalne zaczynają się wypowiadać w tym duchu, byłoby mocno niesprawiedliwe, gdyby młodzież walcząca o tak ważną sprawę, jak odżydzenie uczelni i nauki polskiej, była potraktowana, jako zwykli awanturnicy".

Rzeczywiście, nie są to „zwykli awanturnicy", lecz od zwykłych znacznie gorsi. Awantury urządzane przez rozmaite męty społeczne są czymś mniej obrzydliwym, niż krwawe rozprawy w murach wyższej uczelni. Tak, to są awanturnicy... niezwykli. *Warszawski Dziennik Narodowy* domaga się od Rektorów „amnestii" dla uczestników zajść antyżydowskich:

„Zresztą panowie Rektorzy nowomianowani mają doskonałą okazję do wydania ogólnej amnestii, przez co zjednaliby sobie sympatię i wdzięczność całej młodzieży akademickiej".

Czy taką „doskonałą okazją" są nowe burdy endeckie w wyższych zakładach naukowych?

Zdanie o tym, że „stanowisko młodzieży (*endeckiej* — przyp. nasz) w sprawie żydowskiej zostało uznane przez całe społeczeństwo polskie" jest równie kłamliwe, jak bezczelne. Nie chodzi tu o „stanowisko w sprawie żydowskiej", ale o przestępstwa natury pogromowej.

O tej właśnie „akcji" pisze *Robotnik:*

„Zaczęło się znowu...

Przesuwanie Żydów gwałtem na „lewą stronę" sali wykładowej. Popychanie koleżanek. Bójki. Interwencje Rektorów. Zrywanie wykładów. Zawieszanie wykładów.

I powstaje proste pytanie: przecie w tych warunkach wyższe szkolnictwo Polski przestaje wogóle funkcjonować.

Więc co robić?

Czy nie byłoby najprościej powiedzieć po prostu, po ludzku: nie żadna Bereza, nie żadne więzienie — tylko niech młodzieńcy, którzy uniemożliwiają istnienie *pracujących* wyższych uczelni w Państwie, wracają sobie z powrotem do rodzinnych pieleszy.

Trudno. Nie sposób bez końca wydawać pieniędzy państwowych na to, by czytać na bramach uczelni zawiadomienia o „zawieszeniu wykładów na czas nieokreślony".

Mamy tysiące chłopców i dziewcząt z rodzin naprawdę niezamożnych; dla tej części młodego pokolenia nie ma miejsca w aulach uniwersyteckich. Lepiej stworzyć nowe stypendia, niż wprawiać co parę dni nowe szyby na miejsce stłuczonych podczas stereotypowych „zajść antysemickich".

GDZIE SIĘ WĘSZY ZGORSZENIE?

Płomyk — gorszycielem maluczkich!? Świętoszkom wciąż sen spędza z powiek. Oto ze zgrozy załamali ręce i zasłonili oczy na widok reprodukcji obrazów Wyspiańskiego, wyobrażających macierzyństwo, a umieszczonych w czwartym numerze *Płomyka*. O wielkie nieba, matki z obnażoną piersią karmią niemowlęta! Rozpłomieniają wyobraźnię dziecięcą, podniecają zmysły! Tak woła *Mały Dziennik Niepokalanów*. Nic to, że ilustracje wyobrażają misterium karmienia, odprawiane co dnia niezmiennie od początku świata, nic to, że Wyspiański oddał je tutaj w natchnieniu i cudownie uwiecznił w artystycznym kształcie. Dla świętoszków, kupczących gazetami, to jest tylko „gorszenie maluczkich" i „naśladowanie sowieckich metod wychowania".

I, o zgrozo, młodzież, zwłaszcza „w okresie dojrzewania jest przewrażliwiona i reaguje na takie ilustracje w swoisty sposób, dziewczynki oburzają się, a chłopcy urządzają sobie niesamowite pośmiewiska". Aż tak? W takim razie powinno być wzbronione nie tylko zapoznawanie dzieci z arcydziełami malarstwa polskiego, ale także z rzadkiej wartości płótnami o treści religijno-biblijnej. Obrazy Corregia, Leonarda, Rafaela, uświetniające kościoły, mogą również chłopców, znajdujących się „w okresie dojrzewania", niewłaściwie nastrajać na widok kształtów nieosłonionych, a dziewczęta gorszyć widokiem gołych tyłeczków cherubinków.

RÓŻNE „PASZTETY"

W jednym z naszych najlepszych gimnazjów męskich na t. zw. „lekcji wychowawczej" poświęconej omawianiu kwestyj moralnych, obywatelskich, cywilizowaniu małych dzikusów, wychowawca wygłosił panegiryk na cześć Mussoliniego za to m. in., że nie pozwolił on robić pasztetu z ptaków. Oczywiście żadne z 9--cio, 10-letnich dzieci nie zapytało czemu jednak wolno robić pasztet z Abisyńczyków. Ileż szkody przynoszą ci wolontariusze faszyzmu! I poco ta gorliwość?

ZAKAZANY FILM O HISZPANII

Amerykański koncern filmowy sprowadził do Warszawy film z ostatnich walk bratobójczych w Hiszpanii.

Władze zakazały wyświetlania tego filmu, powołując się na to, że przedstawione sceny są zbyt drastyczne.

W HOŁDZIE BOJOWNIKOWI IDEI

Założyciel socjalistycznej partii Galicij i Śląska, wielki trybun ludowy, Ignacy Daszyński, obchodzi obecnie 70-tą rocznicę swych urodzin. Życie tego zasłużonego i nieugiętego człowieka, wypełnione jest piękną służbą dla idei, nieustającą walką i owocnym trudem myśli.

Ignacy Daszyński, pionier ruchu socjalistycznego w b. zaborze austriackim i w czasach triumfującej reakcji społecznej, niestrudzony i zwycięski szermierz o prawa wyborcze proletariatu w monarchii habsburskiej, wybrany był po raz pierwszy posłem do parlamentu wiedeńskiego w r. 1897 i od tego czasu posłował bez przerwy do 1918 r. W odrodzonej Polsce stanął na czele Rządu Ludowego w Lublinie, po tym w 1920 r., w czasie wojny bolszewickiej zajmował stanowisko wicepremiera. W dwóch pierwszych Sejmach przewodniczył parlamentarnej frakcji P. P. S., w trzecim zaś Sejmie pełnił czynności marszałka. W 1930 r. został znów wybrany posłem na Sejm z ramienia Centrolewu, w ostatnich zaś latach usunął się od czynnego życia politycznego na skutek złego stanu zdrowia.

Dobiega obecnie 45 lat od pamiętnej chwili, kiedy to w styczniu 1892 r. na pierwszym zjeździe galicyjskiej socjaldemokracji Ignacy Daszyński wygłosił sławne swoje przemówienie, zapowiadające nieustępliwą walkę o Polskę niepodległą i demokratyczną. Przez te 45 lat, które od zjazdu tego upłynęły, Ignacy Daszyński nie zboczył na jedną chwilę z raz obranej drogi, na mgnienie nie wyparł się swoich ideałów młodości, pozostając w pełni im wierny i w chwili obecnej, wkroczywszy w ósmy lat dziesiątek.

Należą Mu się słowa hołdu, jako wielkiemu bojownikowi idei.

ZARAZY DUCHOWE

W krajach, gdzie ocalały jeszcze urządzenia demokratyczne, zwłaszcza w klasycznej pod tym względem Anglii, siła moralna i potęga parlamentu polega na tym i uderza korzystnie w porównaniu z państwami faszystowskimi, że tam przedstawicielstwo narodu rządzi się nie instynktami lub popędami, lecz kieruje się myślą krytyczną. Autorytatywna opinia parlamentu warunkuje istnienie poważnej i światłej służby prasowej, która nie trudni się zawodowo wyzwalaniem niskich instynktów w swoim społeczeństwie i nie jest obliczona niemal wyłącznie na czerpanie zysków z ogłupiającej sensacji i z podsycania w masach gorączki pustej ciekawości.

Brak w naszym życiu zbiorowym górującej instytucji i instancji rozumu, świadomej woli i autorytatywnej twórczości krytycznej powoduje coraz silniejsze wpływy prasy o niskim stanie umysłowej i duchowej kultury. Treść z tego źródła sugestywnego oddziaływania na psychikę publiczności nie służy żadnej idei twórczej, wymagającej pracy ducha i myśli, lecz coraz jawniej służy i schlebia niższym przejawom natury ludzkiej, popędom i instynktom, mając w pogardzie siły świadomości, które stanowią naturalną przeciwtruciznę, neutralizującą bez pomocy prawnego i policyjnego przymusu jad kłamstwa, plotki, oszczerstwa lub wszelkiej innej bezmyślnej, drukowanej strawy.

W mózgach słabych, nie rozwiniętych i nie wyćwiczonych, powściągi myślowe działają nie zupełnie normalnie, a wskutek tego brak tam warunków dla ostrożnego, przedmiotowego i krytycznego sądzenia rzeczy, oceniania zdarzeń, wartościowania ludzi. Łatwo wskutek tego biorą górę i zapanowują ślepe odruchy, które swój wyraz znajdują w różnych postaciach nieuzasadnionych uprzedzeń, niewytłumaczonych nienawiści, wszelkich nieodpowiedzialnych manij, fobij, opętań, urojeń. Te dość często spotykane stany u ludzi, znajdujących się na niskim szczeblu umysłowej kultury, stanowią niezmiernie sprzyjające, niejako pod progiem leżące warunki dla masowych, nawet obłędnych sugestyj, znanych w nauce pod nazwą epidemij psychicznych. Te zjawiska irracjonalne, pozbawione logicznych podstaw, oparte są na zgodności w uczuciach, popędach, namiętnościach i w działaniu wielu połączonych ze sobą ludzi, co powoduje zawiązanie się tłumu, ale nie w znaczeniu fizycznego zbiorowiska, lecz w znaczeniu duchowym. Im słabiej w społeczeństwie działają siły świadomości, ograniczające wpływy nieodpowiedzialnej prasy, pasorzytującej na niskich instynktach ludzkich, tym podatniejsze jest podłoże dla wybuchów epidemij psychicznych, podobnie jak zaraza żółtej febry znajduje sprzyjające warunki w bagniskowym klimacie.

Jak łatwo w naszych stosunkach społecznych powstają ogniska zarazy psychicznej, jak szybko mogą się one rozszerzać i czynić spustoszenia moralne w narodzie, połączone z tragicznymi następstwami, widzieliśmy wszyscy po wyborach pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Epidemia ta, rozpętana w celach politycznych przez prasę endecji, przybrała zaledwie w ciągu paru dni formy gwałtownej, zapienionej, krwią nabiegłej naganki na Gabriela Narutowicza. Gdy wraz ze śmiercią prezydenta zagasło siłą rzeczy ognisko zarazy psychicznej, przeciwko niemu rozpętanej, założono bezzwłocznie po tym nowe ognisko innej zarazy, podsycane jawnie, z pasją i umiejętnością profesorską w organach prasowych endecji. To zjawisko zbiorowej psychozy niewątpliwie przejdzie kiedyś jako klasyczny przykład do podręczników psychologii społecznej pod nazwą gloryfikacji zabójcy Gabriela Narutowicza. Objawami tej osobliwej epidemii, które tak gorszyły i w osłupienie wprawiały także sprawiedliwych, wierzących katolików, nie poddających się zarazie, były zaciekłe i uporczywie stosowane zakazy odprawiania nabożeństw za spokój duszy prezydenta, jednocześnie zaś — manifestacyjne popieranie i fundowanie nabożeństw za duszę zabójcy.

Szczególną cechą stanów duchowych ludzi, ulegających epidemii, jest znaczne skrępowanie indywidualnych i samodzielnych ruchów jednostki, która poniekąd traci wtedy swoją jaźń osobistą i stapia się z otoczeniem. Jednostka pochłonięta zostaje i obezwładniona przez tłum psychiczny, pozbawiona własnej woli i samowiedzy, niejako popada w stan hypnotyczny. Tym właśnie się tłumaczy, że nawet ludzie, pomijając niektóre wygi profesorskie, skąd inąd bogobojni, stateczni, wyznający urzędowo etykę chrześcijańską, opłacali gloryfikację zabójcy lub szczerze z obłędnych pobudek apoteozowali publicznie skrytobójcze morderstwo.

Ta czasowa utrata jaźni osobistej w czasie panowania epidemii psychicznej może powodować nie tylko zjawiska i formy tak złowrogie i odrażające, jak powyższe, lecz także formy karykaturalne i dziwaczne. Znane np. są dawniejsze formy masowej psychozy w Walii z 1780 r., kiedy to ogromne tłumy ludności objawiały swoje podniecenie religijne w postaci nieustannego, zbiorowego skakania w miejscach publicznych, lub w Kentucky na początku XIX-go wieku, kiedy to ludność opanował zbiorowy śmiech religijny, t. zw. „święty śmiech", albo też jeszcze dziwaczniejsza forma, którą podziwiano w jednym z klasztorów francuskich, gdzie codziennie o tej samej godzinie wszyscy jego mieszkańcy zaczynali miauczeć jak koty. Długotrwała ta epidemia po licznych, ale bezskutecznych próbach jej zwalczenia ustała dopiero wówczas, kiedy sprowadzono kompanię wojska, które zagroziło chłostą rózgami.

Wyobrażenie o tym, w jakim stopniu trzeźwa nawet jednostka traci swoją jaźń osobistą podczas epidemii psychicznej świadczy powodzenie wielkiego szarlatana Sabbatai Zwi, który w XVII-ym wieku ogłosił się Mesiaszem i zdołał masowo zahypnotyzować Żydów w Niemczech, w Anglii, w Polsce i gdzie indziej. Na skutek tej epidemii mesjanistycznej ustało życie handlowe, Żydzi gromadnie likwidowali swoje interesa, szli procesjami od miasta do miasta, tańcząc i śpiewając, a wyrachowani skąd inąd kupcy, bankierzy, lichwiarze oddawali temu „mesjaszowi" całe swoje mienie.

Burzliwa epoka bieżąca, upływająca pod znakiem wielkich przemian moralnych, politycznych, społecznych, ustrojowych, znacznie podniosła napięcie uczuć i namiętności i stworzyła warunki, w których niezmiernie łatwo wyzwalają się i zapanowują niepodzielnie instynkty i popędy, znakomicie ułatwiające zawiązywanie się ognisk epidemii psychicznych.

W odróżnieniu od skupień i środowisk ludzi idei, rządzących się nie odruchami, lecz świadomą wolą, rozumem i samowiedzą, tłum psycho-społeczny, jako twór duchowy gatunkowo niższy, nie jest zdolny do przejęcia się jakąś ideą oderwaną, która wymaga poważnego trudu myśli. Tłum taki łatwo w sprzyjających okolicznościach przemienia się w tłuszczę, która nie kierowana siłami świadomości, nie może być rozważna i sprawiedliwa, ale przeciwnie, zawsze jest w swych działaniach nieludzka, zaczepna i napastliwa. Nawet ludzie, wznoszący się na pewien szczebel rozwoju umysłowego, zaświadczonego cenzusem naukowym, z chwilą, gdy ulegną zarazie psychicznej, łatwo też w odpowiednich warunkach przemieniają się w pospolitą tłuszczę. Kto pamięta na ulicach Warszawy zachowanie się reakcyjnych grup akademików, dotkniętych duchową *rabies canina*, po wyborach pierwszego prezydenta, lub później i dziś w żydożerczej nagonce i krucjacie zarówno na ulicznym bruku, jak i w murach wyższych uczelni, ten nie ma wątpliwości, że zmniejszone działanie powściągu myślowego spycha nawet tłuszczę inteligentną na poziom kanibalskich plemion, rządzących się złymi instynktami.

Walka tedy z zarazą duchową, która u nas szerzy się, grasuje w najróżniejszych postaciach, jest walką o przywrócenie w społeczeństwie praw krytycznego rozumu i zapewnienie mu przewagi nad ślepymi odruchami i instynktami, które w bieżącej epoce stały się żywiołem wojującej reakcji społecznej. Walka ta o światło intelektu i samowiedzy niezmiennie obowiązuje na wszystkich polach te odłamy społeczne, których punktem wyjścia jest nowe życie na wyższym duchowym poziomie.

Henryk Lukrec.

KRUCJATA PRZECIW MŁODZIEŻY PRAWNICZEJ

Od pewnego czasu rady adwokackie dążą do zmniejszenia liczby nowych adwokatów, a tym samym do polepszenia położenia materialnego praktykujących członków palestry. Czy jest to dążenie słuszne?

Adwokatura nie jest przemysłem ani monopolem, lecz zawodem wolnym, do którego obywatel powinien mieć ułatwiony dostęp, o ile posiada potrzebną wiedzę dla piastowania zawodu. Nie powinien zatem decydować czas, lecz kwalifikacje. Gdyby czas miał być miernikiem kwalifikacyj fachowych, to oznaczałoby to, że każdy starszy adwokat jest zawodowo bardziej wartościowy, niż młodszy kolega. W praktyce widzimy jednak, że mamy dużo złych adwokatów starych, natomiast nie brak nam dobrych adwokatów z pośród młodszej generacji.

Gdy nawet ogólna liczba praktykujących adwokatów przystosowana będzie do faktycznych potrzeb ludności, to pod żadnym pozorem nie możemy przecież stwierdzić, że praca rozdzielona będzie wśród tych adwokatów równomiernie. Zawsze będą adwokaci co dużo i tacy co mało zarobią. Czynnik ten zależy przede wszystkim od możności świadczenia na rzecz klienta. Ten sam obraz istnieje, gdy liczba praktykujących adwokatów przekracza popyt. Dobry fachowiec zawsze i wszędzie ma rację bytu i jest poszukiwany.

Z tego wniosek, że wszelkie ograniczenia dostępu do adwokatury sprzyjać będą warunkom bytu zawodowo mniej zdolnym adwokatom, dla ktrych społeczeństwo ma minimum zainteresowania. Czy mamy na ich rzecz zniweczyć dobre siły, których spodziewamy się w przyszłości?

Gdyby nawet zachodziła potrzeba wprowadzenia pewnych ograniczeń zawodowych, decyzja nie powinna być uzależniona tylko od zainteresowanych. Czego możemy się spodziewać od reglamentacji opracowanej przez osoby mające własny interes na względzie?

Że tak jest, widzimy z projektu, opracowanego obecnie przez komisję, wyłonioną przez naczelną radę adwokacką.

Przede wszystkim uderza nas proponowane postanowienie, że aplikanci wpisani na listę po dniu 1 lipca 1936 roku zostają skreśleni z listy po upływie 3 miesięcy od dnia wejścia w życie nowego prawa!

Wydaje się nam, że prawnik powinien przede wszystkim szanować prawo, co przecież jest jego źródłem życia! Wiemy, że nikomu bez winy nie wolno zabierać raz nabytych praw. Z chwilą wpisania aplikanta na listę, skreślenie jego możliwe powinno być tylko w drodze dyscyplinarnej. Poza tem każdy student nabywa już pewne prawa gdy tylko rozpoczyna studja, których ukończenie nadaje mu przywilej do wykonywania zawodu. Nowelizacja ustroju adwokatury mogłaby zatem dotyczyć dopiero tych osób, które rozpoczną studja po wejściu w życie noweli. Wielu kandydatów, gdyby wiedziało z góry, że aplikacja sądowa będzie trwała 3 lata, napewno wcale nie rozpoczęłoby studjów. Co ma począć kandydat, który rozpoczynając studja, liczył się z okolicznością, że niezwłocznie po ich ukończeniu będzie miał praktykę u adwokata X, a po wprowadzeniu noweli, wymagającej uprzedniej aplikacji sądowej, nie może uzyskać stanowiska aplikanta sądowego? Nie mając możności wykonywania zawodu, musi być narażony na straty. Kto mu za te straty odpowie?

Co do aplikacji sądowej, mającej trwać aż 3 lata, stanowisko komisji nie ma należytej podstawy. Gdy ktoś ma się poświęcić zawodowi adwokackiemu, to potrzeba mu praktyki adwokackiej. Nie negujemy praktyki sądowej, ale powinna ona być zarezerwowana dla tych, którzy zamierzają pracować w sądownictwie. Dla nich zapoznawanie się z aparatem sądowym we wszelkich jego dziedzinach ma praktyczne znaczenie, natomiast dla innych doświadczenia te mają tylko charakter teoretyczny. Technika ta nie jest taką ogromną sztuką, wymagającą aż 3 lat praktyki, a to na niekorzyść zawodu, któremu kandydat ma się poświęcić, a dla którego mają wystarczyć tylko 2 lata aplikacji! Jak tu zrozumieć ratio legis proponowanego przepisu inaczej, aniżeli w celu jak najdłuższego utrudnienia kandyda-

towi dostępu do adwokatury, nawet ze szkodą dla jego praktycznej wiedzy?

Kandydat przez samą praktykę nie nabywa jeszcze praw do wykonywania zawodu. Musi on zdać przepisane egzaminy. Istnieje zatem czynnik kontroli. Nieuk nie ma możności prześlizgnięcia się bez potrzebnej wiedzy.

Trudno sobie wyobrazić, by sądy mogły zatrudnić wszystkich aplikantów i żeby była odpowiednia liczba wakansów, a, gdy będą, by aplikanci otrzymywali pensje z funduszów państwowych. Można sobie łatwo wyobrazić, że każdy kandydat narażony będzie na okres „wyczekiwania", (który może trwać w zależności od dzielnicy całe lata), na 3 letnią bezpłatną pracę w sądzie.

W każdym razie obecne położenie materialne adwokatów w porównaniu z innymi zawodami wolnymi nie wymaga działania bez namysłu. Nie ma powodu społecznego ani interesu państwowo - gospodarczego do nowelizacji dotychczasowego porządku adwokackiego. Nowela w żadnym razie nie powinna być wydana na podstawie pełnomocnictw Pana Prezydenta; nowy ten ustrój powinien być rozpatrywany przez nasze ciała ustawodawcze, to jest Sejm i Senat.

Miejmy nadzieję, że władze powołane do nowelizacji prawa o ustroju adwokatury postąpią zgodnie z zasadami obiektywizmu i sprawiedliwości.

Młody Prawnik.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

DOKUMENT NASZYCH CZASÓW

Dotąd Halina Krahelska znana była niemal wyłącznie ze swej żywej działalności publicystycznej i ze swych czynności na stanowisku inspektorki pracy. W artykułach, pełnych temperamentu pisarskiego i przepojonych troską o losy demokracji w Polsce, Halina Krahelska wyrażała dotychczas swój stosunek do rzeczywistości dzisiejszej. Raz tylko jeden, odrywając się od nurtu bieżącego życia, wybiegła myślą w przeszłość, do carskich czasów i w swoich wspomnieniach ogłoszonych drukiem utrwaliła na tle historycznych zdarzeń lata swej młodości, spędzone w roli bojowniczki P. P. S.

Swój czynny stosunek do życia i swoją niezgodę wobec wielu wypadków i zjawisk społecznych ostatniej doby. Halina Krahelska zapragnęła wyrazić w formie powieści reportażowej. Jako temat do swej najnowszej książki p. t. „Polski strajk"* posłużyła Halinie Krahelskiej tragedia, która niedawno rozegrała się w Polsce. Odtworzenie tła społecznego w sposób wysoce plastyczny i z wielkim poczuciem prawdy psychologicznej, przyszło Halinie Krahelskiej o tyle łatwiej, że doskonale znała zarówno panujące tam stosunki, jak i niektóre osobistości tam działające.

Społeczna i moralna wartość tej żywej i z pasją napisanej powieści reportażowej polega na odsłonięciu prawdy w całej jej ponurej grozie. Halina Krahelska pokazuje czytelnikowi istotne przyczyny i preludia tragedii.

Główne postacie tam występujące oddane zostały przez autorkę z fotograficzną dokładnością a niektóre z nich nabrały znamion wprost symbolicznych, jak np. świeżo upieczony parwenjusz Bronisław Baczyński, lub jego żona, Zofia, z podupadłej wielko-ziemiańskiej rodziny kresowej, górująca nad mężem zarówno inteligencją, jak i sprytem życiowym, i umiejętnie wyzyskująca w celach praktycznych swoje wdzięki niewieście. Świetnie też zoperowane zostały inne ludzkie okazy bagniskowej fauny, jak np. majster fabryczny Zielnik, portjer Zielak, stręczyciel młodych robotnic, lub jak Roman Gałkowski, delegat jednego ze związków i prowokator w jednej osobie.

Ponura postać Gałkowskiego posłużyła widocznie zbyt pochopnym recenzentom książki Haliny Krahelskiej do poczynienia uogólnień nieuzasadnionych i do przypisania autorce chęci zobrazowania całych odłamów klasy robotniczej w niezaszczytnem świetle. Jest to ze stanowiska zręcznych reakcjonistów tyleż celowe, co i nieprawdziwe, gdyż Halina Krahelska, obok nędznika Gałkowskiego maluje kontrastową, wzniosłą postać Malczyka, delegata robotników, oraz Mitka, b. legionisty, który i tutaj legitymuje się zdolnością do najwyższych poświęceń. Z tem większem zdumieniem czytałem opinję samodzielnie bądź co bądź myślącego reakcjonisty, który po przeczytaniu książki Haliny Krahelskiej odniósł wrażenie, iż tamtejsze środowisko robotnicze pod jej piórem „zaczepia o charakter rynsztoków Chicago, kiedy zaciera się granica pomiędzy gangsterem a politykiem".

Przeciwnie, z ducha książki wyraźnie wynika, że bagniskowe opary, zatruwające życie polskie, unoszą się po przeciwnej stronie, a całe fragmenty tragedii tchną buntem autorki przeciwko trwonieniu szlachetnych uczuć społecznych i patrjotycznych proletarjatu. Niedwuznacznym wyrazem tego stanowiska są słowa autorki, któremi przemawia przedstawiciel robotników do inspektora pracy świeżo po doznaniu straszliwej krzywdy: „Tylko z tego grzebania takich krzywd w sercu — bez wyjścia — to wyrasta, panie inspektorze, oj gorzki piołun, gorzki! Bo przecie tu nasza ojczyzna i nigdzie stąd nie pójdziemy!! Oni, taki Baczyński, wyjadą, wylecą samolotem, a pieniądze to i tak przeważnie chowają już po obcych bankach, za Polską. My tylko, my zostaniemy zawsze w Polsce. A jak żyć z taką goryczą w sercu".

Powieść Haliny Krahelskiej została bezpośrednio z życia wzięta. Jest to prawdziwy i cenny dokument naszych czasów.

H. L.

SINCLAIR LEWIS WALCZY Z FASZYZMEM

Głośny pisarz amerykański Sinclair Lewis, autor słynnego „Babbitta", pogromca filisterstwa w Ameryce wydał nową powieść, której polski tytuł brzmi: „U nas to niemożliwe" — i która z pewnością jest kontynentalną amerykańską sensacją, a będzie nią i na całym świecie.

Powieść w typie odmienna jest od swoich poprzedniczek, które wyszły spod pióra tego samego

*) Halina Krahelska. Polski Strajk. Warszawa 1937. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

autora. Więcej w niej elementu publicystycznego, socjologicznego, społecznego. Waga jej, jako oręża w walce politycznej — w walce z faszyzmem — równa się, a może przewyższa jej wartość czysto artystyczną. Ludzie są tu raczej typami, nakreślonymi dość pośpiesznie z wyjątkiem kilku głównych postaci, są pionkami na szachownicy politycznych rozważań, przewidywań, sympatyj i antypatyj. W utworze tym Sinclair Lewis po raz pierwszy stara się sformułować swoje pozytywne stanowisko. Czyni to szczerze, spowiada się ze wszystkich swoich wątpliwości, nie kryje swoich przyzwyczajeń, które mogą wyglądać naiwnie, i kończy odpowiedzią niepewną, przybliżoną, z którą łączy się niezupełnie zatarty znak zapytania.

„U nas to niemożliwe" to powieść-hipoteza, powieść na temat „A gdyby to się stało...", powieść-propaganda i powieść-mobilizacja. Zwykle takie przewidywania lokuje się w przyszłości dość odległej, aby nie kompromitować się wobec współczesnych ewentualną nietrafnością swoich przewidywań. „A gdyby..." S. Lewisa odnosi się do przyszłości bardzo bliskiej, która lada chwila stanie się teraźniejszością.

Punkt jej centralny to wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych, odbywające się 3-go listopada tego roku. Autor nie zupełnie liczy się z układem sił. W powieści jego Roosevelt przepada, a wybranym zostaje kandydat „partii trzeciej", senator Buzz Windrip, coś w rodzaju zamordowanego arcydemagoga Huey Longa, senatora z Luisiany. Wokoło tego małego, wielkogłowego i niemalże garbatego człowieka, obdarzonego niezwykle donośnym głosem, niesłychaną werwą i małą dozą inteligencji, skupiają się typy szarlatanów, demagogów, wykolejeńców w rodzaju lekarza-blagiera, udającego, że umie wszystko, dalej jakowegoś tajemniczego, zimnego i perwersyjnego Goebbelsa, a jedynym poczciwcem, szybko zlikwidowanym, jest biskup wirtuoz radia, coś w rodzaju księdza Coughlina. Ludzie ci mają apetyty i nie mają idei. Obiecują wszystko, nie mając zamiaru niczego dotrzymać. Grupują wokoło siebie męty charakterowe i intelektualne. I zwyciężają przy wyborach głównego kontrkandydata z ramienia ludzi uczciwych i rozsądnych, republikańskiego senatora Tornbridge'a.

Nie wiadomo jak, ale w tempie niesłychanie szybkim rodzi się niezamierzony faszyzm w akompaniamencie despotyzmu, ucisku i okrucieństw. Ludzie bezmyślni, żarłoczni, nieprzygotowani nie mogą inaczej rządzić. Muszą karmić opinię najsilniejszymi narkotykami, zmuszać do milczenia argumenty, na które nie umieją dać odpowiedzi. Odczuwają wokoło siebie pustkę, a po za sobą strach, z którym walczą hekatombami więźniów, ofiar, trupów. Rodzi się jednem słowem coś bliźniaczo podobnego do faszyzmu i do hitleryzmu. Z cezaryczną kopułą na szczycie, w której gnieździ się zwyrodnienie, szaleństwo, lęk, krwawe rozgrywki o władzę. Perwersyjny pomocnik wyrzuca Windripa z Kapitolu, dyktatura z rubasznej staje się perwersyjną, wreszcie nowego władcę spotyka śmierć z ręki nibyto purytańskiego generała, który wydaje wojnę żartowi, śmiechowi, organizuje jedno wielkie więzienie.

W cieniu tej władzy lęgną się spiski i bunty. Najważniejsze organizacje spiskowe prowadzone są przez komunistów i przez republikanów. Ci ostatni w końcu podnoszą głowę i w momencie, gdy zamykamy książkę, znaczna część Stanów jest w ręku prowizorycznego prezydenta Waltera Tornbridge'a. Jaki będzie ostateczny rezultat walki, tego nie wiemy. Sinclair Lewis sprzyja demokracji mieszczańskiej, zaktywizowanemu i zradykalizowanemu liberalizmowi, ale zdaje sobie sprawę z jego błędów, widzi, że najsłuszniejszą negacją faszyzmu nie daje tem samem pozytywnej odpowiedzi na wszystkie pytania. S. Lewis jest człowiekiem w średnim wieku, jest indywidualistą i wiele słuszności ma po swojej stronie twierdząc, że wolność ważniejszą jest od teorii, a człowiek od systemu. I dlatego razi go zimny, antiindywidualistyczny, kamienny komunizm.

Autor równocześnie krytykuje bierność, nieprzygotowanie, brak zmysłu społecznego i organizacyjnego obecnej demokracji. Formułą uspakajającą i usypiającą jest dla niej frazes: „U nas to niemożliwe..." Powtarzając te słowa tchórzliwe cofają się na coraz to dalsze pozycje, szukają pociechy we fikcji własnego bezpieczeństwa i nietykalności i przestają dopiero wtedy wierzyć w trwałość miotanego krwawymi spazmami życia, gdy znajdują się w więzieniu lub w obliczu karabinów plutonu egzekucyjnego.

Symbolem tych przemian jest rozwój wewnętrzny poczciwego i mądrego starego demokraty Doremusa Jessupa, wydawcy dziennika w 20-to tysięcznym miasteczku w rejonie Bostonu. Jessup ma wszelkie zalety, ale wciąż mu się wydaje, że jest człowiekiem uprzywilejowanym, nietykalnym, któremu nie może się nic stać. Banda faszystowska wywłaszczyła go z jego pisma, a on godzi się współpracować w nim, byle mu nie kazano zbyt ostro przeciwstawiać się własnym przekonaniom. Ale kompromisy rozzuchwalają jedynie rozbestwionego wroga. Grom po gromie uderza w rodzinę Jessupa, on sam zbity i skopany do krwi dostaje się do obozu koncentracyjnego i tam dopiero aktywizuje się, staje się bojownikiem, spiskowcem, a potym po ucieczce, politykiem na emigracji a wreszcie emisarjuszem rewolucyjnym w kraju. Demokracja musi zbudzić się z letargu, ruszyć do walki, musi zdać sobie sprawę, że rozpoczęła się walka, w której chodzi o śmierć i o życie. Autor nie jest demagogiem, nie obiecuje zwycięstwa, nie zamyka oczu na trudności i braki, każe pracować, i walczyć i myśleć nad tem jak je uzupełnić. Z sympatią, przyjemnością i otuchą odkładamy jego książkę i radzibyśmy uściskać dłoń dalekiego przestrzenią, bliskiego duchem, wybitnego talentem i temperamentem sprzymierzeńca w najważniejszej walce, która obecnie toczy się na świecie.

Dr. Włodzimierz Jampolski.

BUNT PRZECIW ROZUMOWI

Bertrand Russell o genealogii faszyzmu

W ostatnim tomie swych świetnych essayów, świeżo wydanych po polsku, w starannym przekładzie Antoniego Pańskiego*), zamieścił znakomity angielski badacz współczesności studium, które wysuwa

*) *Bertrand Russell*: Pochwała próżniactwa. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa 1936.

się w tej książce na czoło zagadnień o charakterze najżywszej aktualności, nawet w samym tytule „Genealogia faszyzmu".

Jakby nawiązując do swego kapitalnego dzieła „Wiek XIX" (również przyswojonego już literaturze polskiej przez tegoż wydawcę i tłumacza), Russell, zamierzając mówić o źródłach faszyzmu, jako ideologii, zwraca przede wszystkim uwagę na fakt historyczny, że wydarzenia polityczne przybierają bardzo często taką czy inną postać pod wpływem teoryj z epok minionych; między sformułowaniem teorii a jej praktycznym zastosowaniem upływa zwykle poważny okres czasu. W polityce angielskiej ok. r. 1860 dominowały idee wypowiedziane przez Adama Smitha w r. 1776; dzisiejsze Niemcy urzeczywistniają teorie Fichtego z r. 1807, a dzisiejsza Rosja — ideologię *Manifestu komunistycznego z r. 1848*. Aby więc zrozumieć czasy dzisiejsze, trzeba się cofnąć dość daleko wstecz.

Za główny czynnik natury intelektualnej, który doprowadził różne niezadowolone warstwy społeczeństwa powojennego do przyjęcia rozpowszechniającej się z taką siłą doktryny politycznej, jaką jest faszyzm, w swych różnych formach, uważa Russell *bunt przeciw rozumowi*, który zaczął się, jako bunt przeciw *rozumowaniu*. Podkreślić tu należy, że autor analizuje bliżej *hitleryzm* niż jego rodzica, faszyzm włoski, widocznie widząc w dziejach myśli specyficznie niemieckiej więcej intelektualnych uzasadnień dla doktryny Hitlera, niż w ojczyźnie Mazziniego — dla doktryny Mussoliniego.

Uważając, że kantowski „rozum czysty" oznaczał po prostu rozum, a jego „rozum praktyczny" sprowadzał się do przesądu, Russell widzi u Kanta wprowadzenie z powrotem do filozofii czynnika, wygnanego z niej od czasów rozkwitu scholastyki — mianowicie apelu do czegoś *jawnie irracjonalnego*.

Z tego punktu widzenia ważniejszy jeszcze od Kanta jest Fichte, który przeszedłszy od filozofii do polityki, stał się twórcą niemieckiej doktryny nacjonalistycznej, osiągającej w naszych oczach szczyty absurdu w hitleryźmie.

Dając niezmiernie ciekawy przegląd powtarzających się w historii buntów przeciw rozumowi, od późniejszych postaci buddyzmu począwszy, i twierdząc, że wiara w rozum po osiągnięciu swego apogeum w 6-tym dziesiątku lat ub. w. zaczęła opadać i opada wciąż dalej, Russell podkreśla z naciskiem różnicę między nowoczesnym buntem przeciw rozumowi a dawnymi. Ideałem antyrozumowych tendencyj dawniejszych było *zbawienie*. Ideałem irracjonalistów naszej epoki jest nie zbawienie, lecz *władza*. Etyka ich przeciwstawia się chrystianizmowi i buddyzmowi, a żądza panowania prowadzi ich z konieczności do polityki. Z pośród pisarzy, do ich drzewa genealogicznego należą: Fichte, Carlyle, Mazzini, Nietzsche — mający takich pomocników jak Treitschke, Rudyard Kipling, Houston Chamberlain i Bergson.

Cel, do którego powinni dążyć mężowie stanu (jak go rozumie większość irracjonalistów, duchowych ojców faszyzmu) najdobitniej określił Nietzsche. Odrzucając doktrynę Benthama dotyczącą szczęśliwości „możliwie największej liczby ludzi", autor „Poza dobrem i złem" mówi: „Ludzkość jest znacznie bardziej środkiem niż celem... ludzkość jest tylko materiałem doświadczalnym". Celem jest według niego wielkość jednostek niepospolitych. Sprecyzowanie tego celu uderza swą bezwzględnością: „Zadanie polega na tym, aby osiągnąć tę olbrzymią *energię wielkości*, która pozwoli ukształtować człowieka czasów nadchodzących przy pomocy unicestwienia milionów będących płodami nieudolności — i która przy tym *nie załamie się* na widok spowodowanego w ten sposób, a *niewidzianego nigdy dotąd cierpienia*".

Warto, aby zapamiętały sobie i w Polsce te słowa tysiące ludzi naiwnych, sławiące dobrodziejstwa państw „totalnych".

Wodzowie ich — uprzytamnia Russell — cenią *wolę* bardziej niż uczucie lub poznanie, i władzę bardziej niż szczęście; wolą siłę od argumentów, wojnę od pokoju, arystokrację od demokracji, propagandę od naukowej bezstronności.

Na szczególną uwagę w omawianym tu studium znakomitego angielskiego pisarza-demokraty zasługuje przypomnienie współczesnym niewątpliwego wpływu, jaki na powstanie hitleryzmu wywarła filozofia nacjonalistyczna Fichtego, w której skłonny jestem widzieć jak gdyby psychiczną obronę przed grożącym mu — używając terminologii dzisiejszej — *kompleksem niższości* (jak wiadomo, po zwycięstwie Napoleona pod Jeną Fichte musiał uciekać z Berlina i powróciwszy w r. 1807, wygłosił swoje słynne „Mowy do narodu niemieckiego" — kanony nacjonalizmu germańskiego).

Wyłożywszy rodakom, że Niemcy stoją wyżej od wszystkich pozostałych narodów nowożytnych, ponieważ tylko oni mówią czystym językiem (Russell daje ironiczny nawias, że nawet Eskimosi także mówią czystym językiem), twórca doktryny nacjonalistycznej zapewnia, iż tylko Niemiec — dzięki czystości swego języka — może posiadać głębię; „mieć charakter, konkluduje, i być Niemcem, to niewątpliwie jedno i to samo". Aby jednak uchronić charakter niemiecki od obcych wpływów rozkładowych i aby naród niemiecki mógł występować w działaniu, jako całość, potrzebny jest nowy rodzaj wychowania, który „uczyni z Niemców jedno zbiorowe ciało". Istotą nowego wychowania musi być „zupełne unicestwienie wolności woli".

Russell czyni słuszną uwagę, że teza Fichtego, z przed 130 lat, iż ludzkość istnieje dla człowieka „szlachetnego" (w sensie pochodzenia), a człowiek „niegodny" nie może wymagać dla siebie żadnych praw — stanowi najbardziej istotną cechę dzisiejszego ataku na demokrację.

Dodajmy, że obok i łącznie z niedorzeczną naukowo teorią o czystości rasy, tamta teza stanowi jeszcze bramę wypadową dla hitlerowskiego dzikiego antysemityzmu.

Bertrand Russell jest historykiem, socjologiem, myślicielem, nie politykiem. Dlatego nie powinno nas dziwić zdanie, którym zamknę tę zwięzłą relację z jego znakomitego, głębokiego studium o genealogii faszyzmu: „...dzisiejszy obłęd hitlerowski jest ciepłym mitem, którym otula się jaźń niemiecka w obronie przed zimnymi podmuchami Wersalu. Żaden człowiek nie jest w stanie trzeźwo myśleć, jeśli jego godność osobista została śmiertelnie zraniona — i ci, którzy świadomie doprowadzają do upokorzenia jakiegoś narodu, tylko sobie samym mają do zawdzięczenia, jeśli naród ten staje się narodem wariatów".

Wacław Rogowicz.

TYLKO SAMO ŻYCIE...

Pod szarą, wielką kamienicą, tuż obok drzwi wejściowych do baru stoi mała dziewczynka. Wątłe, szczuplutkie ciałko ginie w dużym, czarnym, połatanym swetrze, spod którego wyglądają bose, krzywe, zaczerwienione nóżki. Usta wykrzywione w podkówkę powtarzają wciąż, bez względu na to czy idzie kto, czy nie: „na kawałek chleba, upraszam na kawałek chleba..."

Podchodzę do małej, daję jej kilka groszy. Dziecko spogląda na mnie z lękiem, gdy patrzę na nią dłuższą chwilę i nie odchodzę

— Dlaczego żebrzesz? — pytam.

— Mamusia kazała..."

— Czy masz ojca? — Mam, ale... — bródka zaczyna się trząść i z przestraszonych oczu płyną łzy.

— Nie bój się mała. Nic złego ci nie zrobię. Widzisz jest już późno, pewno jesteś głodna, chodź ze mną.

— A gdzie? — i znów płacze, rozglądając się wokoło, jakby szukając najdogodniejszej drogi do ucieczki.

— Nie bój się, Nic ci złego nie zrobię. Biorę małą za rękę. Opiera się, ociąga. Boi się uciekać i iść do mnie też się boi. „Zjemy razem kolację, rozgrzejesz się, a potym odwiozę cię do domu". — Nic nie mówi, lecz już nie płacze. Z rezygnacją idzie koło mnie. Wchodzimy do mego mieszkania. Nastawiam herbatę. Mała siada na stołeczku, oplotła wychudłymi rączynami kolana i wybucha płaczem.

— Czego płaczesz? No powiedz, czego?

— Bo jak przyjdzie policjant i zabierze mnie, to mamusia znów mnie wybije. I tak dostanę, to pani mnie zabrała tak wcześnie spod baru, to już nic nie uzbieram. — Uspokoiłam ją po długich zapewnieniach, że wszystko tak obmyślę i zrobię, by jej nie zaszkodzić, że napewno nie sprowadzę policjanta. Wreszcie mała uspokoiła się i zaczęła rozglądać się po pokoju. Po chwili zasiadłyśmy razem do kolacji.

— Jak masz na imię?

— Ludwika.

— Słuchaj Luciu, ile masz lat?

— Dziesięć mi się skończyło na Matkę Boską Zielną.

— Czy chodzisz do szkoły?

— Chodzę do 3-go oddziału. — Tu wymieniła szkołę, do której uczęszcza.

— A czy ci w szkole nie pomagają, że musisz żebrać?

— Mnie pomagają. Dostaję śniadania w szkole; czasem jakieś ubranie i na obiady chodzę do jednej pani. Ale mamusi i braciom i Feli nie dają nic, to muszę prosić.

— A co robi twój tatuś?

— Nic nie robi teraz. Nie ma roboty.

— A mamusia?

Siedzi w domu. Nie może nic robić bo ma suchą rękę.

— A ilu masz braci?

— Trzech i jedną siostrę. Edek jest u fryzjera A tamtych dwóch to jeszcze małe chłopaki, co do szkoły nie chodzą. A Felka chodzi do piątego, ale nie prosi, bo taka głupia, że ją zawsze policjant złapie. Tylko mamusia i ja chodzimy po prośbie.

— I tylko z tego żyjecie?

— Tak — odpowiada Ludka wzdychając. Niespokojnie ogląda się wokoło, potem patrzy na mnie i pyta:

— Ale pani nie sprowadzi policjanta? Prawda?

— Nie bój się. Nie zawołam.

*

W zapadłej, drewnianej chałupce, krytej gontem porosłym mchem, z oknami tuż przy ziemi — mieszka Ludka. Przez podwórze pełne cuchnących kałuż wiedzie błotnista ścieżka do sieni, z której przy każdym otworzeniu drzwi bucha wstrętny odór stęchlizny połączony z kuchennymi zapachami. W głębi długiej, mrocznej sieni są drzwi do mieszkania Ludki.

Nim zdążyłam wejść na próg już dziecko zaczęło tłumaczyć dlaczego tak wcześnie wraca i z kim.

— Przyszła ze mną jedna pani, ale nie policjantka. Dała mi kolację, przywiozła mnie tramwajem i mamie też chce pomóc. Niech się mama nie boi..." —

— Dobry wieczór — zaczęłam, i w obawie by na Ludkę nie krzyczano stanęłam za jej plecami. Spojrzenie matki skierowane na mnie i na Ludkę kazało mi sądzić, że tej ostatniej nie łatwo tu darują „zmarnowany" wieczór.

— Proszę się na Lucię nie gniewać. To moja wina. Zabrałam małą do siebie, była taka zmarznięta... Może będę mogła coś dla was zrobić, w czemś dopomóc. Tylko niech jej pani nie karze. To ja winna.

— A ktoby ją tam karał zara, moja pani — odrzekła matka. Już to dziewczysko musiało dobrze chorą matkę umalować, kiedy pani zara z karami zaczyna. Ale za łgarstwo to dostanie. Słyszał kto? Niedość, że pani dała i jeść i tramwajem jak paniątko przewiozła, to jeszcze bić bym ją miała. To łgarz, nie dziewucha. — Nieokreślonego koloru oczy spoglądały z niedającą się ukryć złością na Ludkę i na mnie. Prawą ręką, zdrową, chwyciła za ramię stojącego obok niej chłopaka może 6-cioletniego i takim tonem, jakim wpierała we mnie przed chwilą „kłamstwo" Ludki zawołała: „Podaj pani stołka!" Wychudły, garbaty chłopczyna podsunął mi stołek i poczłapał w kąt izby. Na kuchni zaczęło coś kipić. Wtedy z drugiego, ciemnego kąta izby podbiegła dziewczyna lat około 12-stu, wystawiła garnek z gotującą się zupą, zakryła blachę fajerkami, kawałkiem brudnej szmaty wytarła z kuchni skwierczące na rozpalonym żelazie kartofle, w rondelek stojący z boku włożyła słoninę przygotowaną do smażenia, zamieszała w niej nożem.

Przy mdłym świetle małej naftowej lampy wiszącej tuż nad kuchnią w rogu izby trudno było cośkolwiek dostrzec. W dwóch rogach izby po obu stronach niewielkiego okienka z szybami posklejanymi papierem stały dwa nędzne, wysokie, poodrapywane łóżka podparte kawałkami cegły na pełnej wybojów, ubitej jak klepisko ziemi. Nad oknem na zardzewiałym haku zwieszały się wianuszki zeschłego rozchodniku, mięty i przeróżnego święco-

nego ziela — pamiątka po ostatnim święcie Bożego Ciała. Na środku izby długa, wysoka, na powykrzywianych nogach ława, służąca za stół, patrzyła rozpacznie sinymi, wielkimi plamami sęków w sufit czarny, popodpierany grubymi belkami. Obok drzwi tuż przy kuchni staromodna szafa-kredens bez szyb, zabytek lepszych czasów, z rzeźbionymi różami na dolnych drzwiczkach, również na cegłach. Po drugiej stronie drzwi pękaty kufer, a nad nim na gwoździach garść odzieży otulona kawałkiem białej szmaty. Na środku ściany między tym kufrem a łóżkiem wielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z dwiema bliznami na ciemno-brązowym obliczu, z oczyma utkwionymi w przeciwległą ścianę.

— Felka! daj dzieciom kolację! — ostro rzuciła matka.

Na łóżkach i stołkach przykucłe chude, maleństwa.

Felka rozstawiła miski na ławie, nalała gorącej kartoflanki, zawołała dzieci. Zasiadło ich czworo: mały garbusek z nalaną, przezroczystą, białą buzią i z dużym brzuchem, który ledwie mógł udźwignąć na cienkich, pałąkowatych nóżkach, Ludka, Felka. Z za wysokiej krawędzi łóżka wyjrzała rozczochrana, jasna główka może czteroletniego chłopca z zaspanymi, wielkimi oczyma. Spostrzegł mnie, schował się za łóżko i głośno się roześmiał. Śmiech ten napełnił mroczną izbę.

Na ławie położyłam przyniesioną z sobą paczkę. Ludka szybko porozrywała sznurki i po sinych sękach ławy potoczyły się duże, białe bułki. Trzy pary rąk wyciągnęło się po nie. „Dziękuję pani, bardzo dziękuję — wyszeptała matka, ale już spokojniej, z odrobiną ciepła w głosie. Twarz jej złagodniała. Oczy czule spoglądały na najmłodszego, siedzącego u mnie na kolanach.

— On ma zawsze takie szczęście — zaczęła. Mówią wszyscy, że jest śliczny. Jemu jednemu jest lepiej. Nigdy się głodny spać nie położy. Wszyscy co mogą to mu podtykają. A już nasza maglarka to niema dnia, żeby mu co w zęby nie wsadziła. Jego jednego Pan Bóg nie karze. Jest zdrowy i taki ładny, niczem mój Oleś nieboszczyk.

— Jak przyszedł na świat zaraz powiedziałam: — dam mu Bolesław na imię. — Taka wtedy była żałość w domu, taka nędza. Niech będzie Bolesław. Boleś, Boleś... Jak u św. Genowefy — Boleś. Stary mój był wtedy w więzieniu. Siedział już drugi miesiąc. Cztery lata temu, cztery lata — Edek chodził już do drugiego, Felka do pierwszego, Ludka była jeszcze w domu, bawiła Franka. Franek miał dwa lata. A mój stary siedział. Pan Bóg nas skarał. Mielim nawniej na „Gburach" chałupę, krowę i cztery morgi. Był wtedy Oleś, mój pierwszy syn. Taki kochany, śliczny synuś. Miał siedem lat, zaczął chorować. I tak chorował, żeśmy wysprzedali na leki, a potym to już na pogrzeb wszystko, wszyściutko. I trzeba było szukać chleba w świecie. Przyślim do Warszawy. Ale roboty nie było jeden rok, drugi... I sklepikarz mu się starał, i maglarka przepytywała to tu, to tam. I nic. Przezrobocia brać nie mogliśmy, bo jeszcze nie chcieli nam książki wydać. Nietutejsi — powiadają. Po starej żebraczce zostalim tu lokatorami jak umarła. I tak siedzielim. Jeno to było com ja czasem praniem gdzie złapała. I takeśmy z głodu schli, zdychali. Dzieci przybywało, przybywało gęb do miski, a roboty znikąd. Jeden, którego stary poznał na torze namówił go, że tak dali być nie może, żeby coś zrobić. I zrobili. Nawet-em o tym nie wiedziała. Było już dobrze po północku jak wrócił. Przyniósł pełen wór i kosz chleba, mąki, ryżu, kaszy, cukru, słoniny, herbaty i wszystkiego do życia. Postawił koło kuchni. Obudził mnie. „Nigdy nie kradłem — powiada, ale Bóg chyba karać nas nie będzie. Nie mogłem. Nie mogłem już ścierpieć. Nicem innego nie wzion, tylko te troche życia. Nic więcej. Bóg mi świadkiem. Nawet pieniędzy co były w puszce od kawy, ani jednej butelki wódki nie ruszyłem. Ino to życie. Już nie mogłem. Nie płacz Brońcia. Modlij się, żeby Bóg przebaczył ten grzech z głodu". Ukląkł sam, płakał i modlił się. A potym jak wyszło już ze trzy tygodnie znów przyniósł w nocy z tego samego sklepu na Żelaznej pełen worek. Ale jeno go postawił na ziemi, jak wpadli policjanci. Wyśledzili go. Zabrali go i worek wzieni i całe mieszkanie prześpyrowali. Dzieciny się pobudziły, płakały, nie dawały ojca. Zabrali go. I siedział pół roku. A ja z nimi tak... Nie było wyjścia. Ja kraść nie pójdę i dzieci nie poślę. Wyprawiłam jeno Edkę po prośbie, bom na Bolesia zaniemogła. Nie było rady. A potem, kiedym już po onej chorobie wstała maglarka nastręczyła mnie do sprzątania u jednych co tu niedaleko skład z węglem mają. Ale niedługo. Przez tą rękę. Pan Bóg nas skarał. Spadłam z drabiny jakem firanki zakładała i ręka schnąć zaczęła. I uschła. Uschła, bom kradzione jadła. Nie mogę już teraz nic robić. — Apotem... Potem stary z więzienia wyszedł, ale jeszcze mu teraz trudno robotę dostać, bo złodziej, bo więźniarz. I tak włóczy się całe dnie, jak ten gupi. Tylko to jest co Ludka i Felka w szkole dostaną i co obie z Ludką uprosimy. Wstydzę się ludzi i Boga. A tak mi się czasem śmiać chce. Takbym się śmiała. A płakać to nigdy nie mogę. Dzieciaki dokuczają, Felka taka, niezdarna, głupia. A ja takam sama. Stary nic nigdy do mnie nie gada. Nie gadamy już czwarty rok, jak wyszedł z więzienia i ręka mi uschła. Tylko jak dzieciaki płaczą tobym się wtedy śmiała! Czy tak, czy inaczej, czy w bidzie, czy w rozkoszy człek przeżyć jakoś musi. To i czego płakać po próżnicy. I tak. Soli, kaszy, mąki, słoniny, chleba nakradł, oj nakradł. A my wszyscy to jedli, jak jedli! A on płakał. Żeby to żył Olek. Tera miałby już 16 lat. Możeby pracował, a możeby kradł, albo prosił. Kto wi? Może tak i cała uschnę. Kara za kradzieże. A na sprawie to mówił stary tylko to jedno w kółko: „Wzionem, bom nie jadł, bom był głodny i stara moja i dzieciaki. Nic nie jedliśmy już pare dni. Tak myślałem — wezme, to jak będzie robota to i oddam. A pożyczyć nikt nie chciał. Nie było na czem patrzyć. Tylkom życie brał. Tylko życie. Przysięgam. Tylko samo życie. Żeby nie umrzyć, żeby tylko nie umrzyć. Tak jak na spowiedzi żałuje i już nie będę. Musiałem. Dzieciska płakały. Tylko samo życie..." „Nie umiał się tłumaczyć" — mówiła mi maglarka, bo na tej sprawie była. Płakał tylko. A tam płaczem nic nie zrobi. Jeno adwokatem, jeno żeby się człek dobrze wytłumaczyć umiał, wygadać. A on tego nie umiał, tylko gadał swoje, że u spowiedzi był, że z głodu, że tylko samo życie..."

Czesława Kamińska.

NIESPEŁNIONE PROROCTWA

Niedawno jedna z gazet z pogodnym humorem śmiała się z naszych swojskich proroków, tych, co to wyznaczają daty zdobycia Madrytu przez buntowniczych generałów, ucieczki prezydenta Azana, upadku rządu Frontu Ludowego we Francji, zwycięstwa pana Casimir'a De-la Rocque'a, tryumfu reksistowskiego Degrelle'a w Belgii i humorystycznego „wodza" czarnych koszul w Londynie Oswalda Mosley'a. Przepowiednie nie sprawdzają się, ale to nie robi różnicy „prorokom", którzy natychmiast wyznaczają nowe daty dla upragnionych przez nich i ich wyznawców wydarzeń, wskutek tego, jak pisała wspomniana gazeta, obchodzono uroczystość 200-nej wiadomości o ucieczce Azany. Objaw, o którym tu wspominamy, jest symptomatyczny, charakteryzuje stan nastrojów i umysłów, te zapowiedzi — to przecież wyraz życzeń i pragnień pewnych ciemnych reakcyjnych kół naszego społeczeństwa, które powtarzają pacierz za swymi ojcami hitleryzmem i faszyzmem, ani na chwilę nawet nie zastanawiając się, do czego dla Polski prowadzi zwycięstwo reakcji na skalę wszechświatową. A przecież wszyscy już zdają sobie sprawę, że wśród rozmów o utrwaleniu pokoju na półwyspie Pirenejskim toczy się zamaskowana wojna międzynarodowa, wojna taka sama jak za czasów wiosny ludów 1848 i 1849, kiedy narody zrywały się do nowego życia, rwąc kajdany w które zakuli je ich królowie, lub obce potencje. Czyż trzeba przypominać, gdzie, po której stronie znajdowali się wówczas Polacy, pozbawieni wówczas własnego bytu państwowego i rozdarci pomiędzy trzy mocarstwa?

Jeżelibyśmy o tem zapomnieli, słusznie przypomniano w „Dzienniku Popularnym" artykuł Adama Mickiewicza z wiekopomnej „Trybuny Ludów", wydawanej w Paryżu. W numerze z d. 30 marca 1849 r. pod tytułem jakże bliskim naszym dniom „Nie — interwencja" poświęconym ówczesnym walkom Włoch o niepodległość i zjednoczenie, wieszcz polski i wszechludzki nazywał ten wyraz barbarzyńskim, tłomaczył, że „nieinterwencja" oznaczała dla Francji kolejno opuszczenie Polski, Belgii, Hiszpanii, a w danym momencie prowadziła do opuszczenia walczących o wolność Włoch i pozostawienia ich na pastwę cesarskiej koalicji. Trzeba by ten artykuł przypomnieć nie tylko w Polsce, ale i w Italii, która dziś sama wyzwolona kroczy w szeregach koalicji państw dyktatorskich, usiłujących narzucić ludowi hiszpańskiemu rządy buntowniczych generałów: inwazję hitlerowców i faszystów na czele uzbrojonych Maurów.

Na szczęście dotychczas przepowiednie tych co zapomnieli o „Trybunie Ludów" Mickiewicza, dotąd nie sprawdziły się. Chociaż szczęście wojenne sprzyja dotychczas buntownikom, pierścień ich wojsk zbliża się coraz bardziej do Madrytu, zdołali, jak zdaje się opanować całkowicie stolicę górniczej Asturii — Oviedo, a z jawną pomocą włoską zajęli wyspy Bolearskie, to przecież losy wojny na półwyspie Pirenejskim nie są jeszcze przesądzone, pomimo nawet znacznej przewagi militarnej rokoszan, zaopatrywanych jawnie w sprzęt wojenny przez Portugalię, Italię i Niemcy.

Stan rzeczy pod tym względem bardzo ciekawie scharakteryzował niedawno znany dziennikarz amerykański Louis Fischer. Po zwiedzeniu frontów wojny domowej hiszpańskiej pisał on, że gdyby rząd madrycki posiadał 5.000 wyszkolonych żołnierzy i 50 samolotów bombardujących z należytą obsługą — zwycięstwo jego byłoby niewątpliwe i zapewnione. Lud Madrytu i Barcelony — pisał on — był jak okazało się na wysokości wydarzeń, kiedy w lipcu gołymi rękami zdobył koszary buntowników w obu stolicach. Fischer wyraża przypuszczenie, że pod groźbą bezpośredniego niebezpieczeństwa siły ludu hiszpańskiego wzrosną, skonsolidują się i zdołają przemóc oblężenie buntowniczej armii gen. Franco.

Przypuśćmy jednak, że te przewidywania Fischera zawiodą i że jedna z dziesiątków dat zapowiadanych przez naszych „hitlerjotów" sprawdzi się: wojska gen Mola, Franco i innych w towarzystwie czarnych koszul hr. Rossi i brunatnych majtek p. Hellermana z Barcelony, wkroczą do Madrytu. Czyż to będzie oznaczać koniec tej tragicznej wojny światowej na półwyspie Iberyjskim toczącej się od 19 lipca r. b.? Odpowiedź na to pytanie jest przecząca i to dla dwóch przyczyn.

Przedewszystkim pozostanie nienaruszona przez inwazję rokoszan i obcych interwencjonistów — Katalonia, musieliby zdobyć ten cały wielki kraj, aby zatryumfować w całej Hiszpanii. Po-wtóre zaś i w rdzennej Hiszpanii zwycięstwo ich nie rokuje im dłuższego powodzenia. Jeden z bezstronnych korespondentów angielskich opisywał niedawno stan rzeczy w zdobytym z hałasem przez t. zw. narodowców Toledo: „Życie w Toledo — pisał on — jest nieznośne. Nie tylko trwa bombardowanie miasta przez wojska rządowe, ale co gorsze, niema dnia ani nocy, aby z tajemniczych kryjówek nie padały strzały partyzantów rewolucyjnych, nie ma dnia, aby w krętych i ciasnych uliczkach średniowiecznego miasta nie ginęli wojacy generalscy od kul ludności. A więc bezstronny świadek stwierdza, że wbrew woli ludności „oswobodzają" generałowie miasta, miasteczka i wsie od rządów Frente Popular.

Istotni sprawcy tego „wyzwalania" trójprzymierze Salazar — Hitler — Mussolini bardzo dobrze zdają sobie sprawę z tego stanu rzeczy i zawczasu przygotowują się do położenia, które wywiąże się w razie wkroczenia rokoszan do Madrytu. Z wszczętej z inicjatywy dyplomacji Z. S. R. R., popartej przez W. Brytanię, dyskusji na temat nie przestrzegania zasad nie-interwencji towarzystwo nie-interwencjonistów chciało raz jeszcze zrobić krzykliwą krucjatę przeciw Sowietom.

Gdy to zawiodło i gdy znowu wbrew berlińskim przepowiedniom Z S. R. R. nie wystąpił z komitetu nadzoru nad nie-interwencją, front faszystowski przygotował sobie nowe posunięcie na wypadek zdobycia Madrytu: Portugalia zawiesiła stosunki z legalnym rządem hiszpańskim, zapowiadając, że motywy tego kroku poda kiedyś później do wiadomości. Oczywiście za p. Salazarem pójdzie Hitler i Mussolini, przygotowując sobie drogę do uznania buntowniczej junty generalskiej, siedzącej obecnie w Burgos, za rząd hiszpański. Za tym przykładem przyjaciół zdrajców pójdzie oczywiście ta część opinii publicznej w Polsce, która ogarnięta jest szałem walki z rzekomym Kominternem.

Istotny stan rzeczy ujął niedawno zwięźle i jędrnie prezydent Azana w oświadczeniu złożonem prasie zagranicznej:

„Nie mamy w Hiszpanii do czynienia ze zwykłą walką wewnętrzną, która dotyczy tylko Hiszpanów. Gdybyśmy mieli tylko z tem do czynienia już dawno spór byłby zakończony na korzyść rządu prawowitego. Lecz rokoszanie występujący przeciw republice są wciąż zaopatrywani przez zagranicę w sprzęt wojenny i ludzi — w wojsko i w dowódców. W zamian za to wydano zarządzenia wymierzone przeciw legalnemu rządowi Hiszpanii i w wyniku paktu o nie-interwencji stworzono prawdziwą blokadę pozbawiającą nas prawa do normalnych stosunków handlowych z naszymi przyjaciółmi. W dziedzinie prawa międzynarodowego jest to wypadek wprost potworny. W dziedzinie poli-

tycznej, a w szczególności dla przyszłości mocarstw Europy zachodniej i jej bezpieczeństwa skutki tej blokady mogą być wprost straszliwe. Po za sprawą wolności i niezależności narodu hiszpańskiego w tej pozornie domowej wojnie rozgrywają się losy: równowagi sił na morzu Śródziemnem, panowania nad cieśniną Gibraltarską, baz morskich Hiszpanii na Atlantyku i surowców, w które obfituje ziemia hiszpańska, jak miedź, rtęć, ołów i potas".

Dodajmy do tego, co mówił prezydent Azana: w wojnie tej chodzi o sprawę wolności i demokracji na całym świecie.

Oto dlaczego „czarne nocy dzieci" występują wciąż ze swemi życzeniami — przepowiedniami. Z tego samego powodu tenże czarny obóz przepowiada od dłuższego czasu upadek rządu Frontu Ludowego we Francji. Kongres radykałów w Biarritz, zakończony 25 ub. m. był wskazywany jako kres rządów Bluma. Przepowiednia zawiodła. Kongres radykałów uchwalił jednomyślnie rezolucję, z której wynika, że stronnictwo to nie obala rządu Bluma, ale zachowując własne oblicze dla dobra demokracji pozostaje nadal w Froncie Ludowym.

Tęskny wzrok naszej rodzimej kontrrewolucji biegnie za Degrellem belgijskim, który po osobistej rozmowie z Hitlerem usiłuje obalić porządek prawny w Belgii. Wzrusza tych panów szczególnie t. zw. neutralność belgijska, która rozumiana jest tak samo, jak nieinterwencja w Hiszpanii, jako narzędzie działające na rzecz Niemiec. Te rachuby stają się zawodne: Degrelle jest w przededniu likwidacji, a proniemiecka neutralność Belgii jest, zdaje się, nieporozumieniem wywołanem przez komentarze zbyt pochopne do przemówienia króla Leopolda III. Tym nieustającym prorokom należy radzić, aby bliżej przyglądali się swoim ideałom, a więc Hitlerii, która po 3-ch latach zbawiennego ustroju, dostaje armaty zamiast masła i faszystowskiej Italii, której Duce zapowiada „oliwną gałązkę pokoju, wyrastającą z lasu 8 milionów dobrze naostrzonych bagnetów". Oto szczyty szczęśliwości osiąganej przez państwa dyktatorskie, zwalczające demokrację na świecie. Ci, to w taki sposób wyobrażają sobie idealny stan kraju, niechaj przeczytają sobie uważnie ten słowniczek wyrazów obcych, za który dr. Göbbels zawiesił czasopismo „Querschnitt". W słowniczku tym powiedziano: absurd — daremne wyczekiwanie lepszych czasów, charakter — przeszkoda w karierze, optymista — człowiek nieuleczalnie chory... Pod rządami pięści totalnej nie ma optymizmu, nie ma nadziei na lepsze czasy i giną charaktery.

t. r.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

OŚWIADCZENIE MIN. ŚWIĘTOSŁAWSKIEGO

Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego prof. dr. Wł. Świętosławski w związku z ostatnimi wypadkami na uczelniach akademickich udzielił agencji „Iskra" następującego oświadczenia:

„W czasie ostatnich kilku dni niemal jednocześnie zaszły na kilku uczelniach akademickich wypadki, które wzbudzić muszą w szerokich masach społeczeństwa szczery niepokój.

Uważam za obowiązek powiadomić ogół o tych wypadkach, gdyż wymagają one zdecydowanej postawy całego społeczeństwa.

Mam na myśli zajścia, które wydarzyły się w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, na Uniwersytecie Jana Kazimierza i na Politechnice Lwowskiej.

Wykraczają one daleko poza granice, któreby można było nazwać lekkomyślnymi wybrykami młodzieży.

Tak więc we Lwowie podczas zorganizowanej bójki na uniwersytecie zraniony został nożem student Żyd, kilku innych studentów dotkliwie pobitych, spoliczkowany został stary woźny, za to, że pełnił sumiennie swe obowiązki i nie dopuszczał do gaszenia światła w korytarzu, gdzie chciano skorzystać z ciemności, aby wszcząć bójkę.

W Szkole Głównej Handlowej wśród bójki przy użyciu dymnych świec, zaszedł wypadek ciężkiego poranienia kastetem w głowę woźnego, gdy pełnił swe obowiązki przy Rektorze.

Fakty te świadczą, że wykroczenia bardzo nielicznej grupy młodzieży, chcącej za wszelką cenę nie dopuścić do spokojnej pracy reszty kolegów, przybrały formę ekscesów, wychodzących daleko poza wszelkie granice prawa. Grupa ta przestała się rządzić jakimikolwiek zasadami etyki, insynuując zmyślone intencje oświadczeniom lub wyrokom dyscyplinarnym władz akademickich, nachodząc obce uczelnie uzbrojona w kastety, noże i kije.

W takiej atmosferze poszczególne jednostki tej grupy mogą się łatwo znaleźć już na samej krawędzi zbrodni. Większość zaś studentów daje się steroryzować i — na razie przynajmniej — nie zajmuje postawy dość energicznej, żeby w zarodku stłumić ekscesy, nieobliczalnych kolegów.

W tych warunkach władze uczelni mimo najszczerszych chęci i wielkich wysiłków nie mogą utrzymać ładu i porządku przez oddziaływanie osobiste i swój autorytet moralny.

Taki stan rzeczy nadal tolerowany być nie może.

W akcji potępiania wykroczeń na uczelniach akademickich powinny wziąć udział szerokie masy społeczeństwa, w pierwszym zaś rzędzie profesorowie, słuchacze uczelni akademickich oraz rodzice i krewni studentów.

Bierna postawa ogółu zagrażałaby etyce i moralności publicznej.

Zbiorowej psychozie grupy nieobliczalnych jednostek musi być przeciwstawiony zdrowy instynkt społeczny, biorący zdecydowanie w obronę moralność, etykę i kulturę naszego Narodu.

Wierzę, że sam fakt podania do wiadomości publicznej karygodnych wykroczeń, jakie wydarzyły się na uczelniach akademickich, wywoła żywy oddźwięk w sercach wszystkich prawych obywateli, dbałych o honor i dobre imię naszej młodzieży akademickiej".

W SPRAWIE STANISŁAWA BRZOZOWSKIEGO

Pp. Antonina Brzozowska i Anna Brzozowska przesłały do Polskiej Akademii Literatury list treści następującej:

„W r. 1907-ym pewien odłam Partii Socjalistycznej rzucił na ś. p. Stanisława Brzozowskiego niesłuszne a potworne oskarżenie. Podczas przewodu sądowego winy mu nie udowodniono. Sąd partyjny zbierał materiały dowodowe przez lat kilka, tak że St. Brzozowski, ciężko chory już w czasie gdy padło nań oskarżenie, zmarł w r. 1911 nie doczekawszy zakończenia sprawy. Sprawa ta została nie załatwiona po dziś dzień. Po dziś dzień nieświadomość i zła wola szarpią pamięć zmarłego naszego męża i ojca.

Zwracamy się przeto do Polskiej Akademii Literatury, jako do Instytucji, do której zadań należy obrona honoru pisarzy, domagając się rozciągnięcia opieki nad czcią ś. p. Stanisława Brzozowskiego. Jedynie Polska Akademia Literatury powagą swą może położyć kres ukazującym się dotąd w niektórych pismach i wydawnictwach oszczerstwom krzywdzącym pamięć zmarłego.

Stanisław Brzozowski stoi dziś ponad wszelkim sądem ludzkim, lecz pamięć jego powinna być uwolniona od wszelkiego cienia, który mogło na niej pozostawić dawne bezpodstawne oskarżenie.

Antonina Brzozowska
Anna Brzozowska.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Władysław Orkan: Czantoria i pozostałe pisma literackie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1936.

Baley Stefan: Osobowość twórcza Żeromskiego. Studium z zakresu psychologii twórczości. „Nasza Księgarnia" Zw. Naucz. Polskiego. Warszawa 1936.

Bronisław Wieczorkiewicz, Henryk Szletyński, Jan Kochanowicz: Zarys nauki żywego słowa. „Nasza Księgarnia", Zw. Naucz. Polskiego. Warszawa 1936.

W. Stanley Jevons: Logika, z oryginału angielskiego przełożył Czesław Znamierowski. „Nasza Księgarnia", Zw. Naucz. Polskiego. Warszawa 1936.

Aleksander Kazimierz Lechowicz: Mobilizacja gospodarstwa narodowego jako środek zwalczania kryzysu. F. Hoesick. Warszawa 1936.

Leopold Brodziński: Faun z Hollywood. Powieść. Skł. główny Gebethner i Wolff. Warszawa 1936.

Władysław Kowalski: W Grzmiącej. Powieść. Wydawnictwo M. Fruchtmana Warszawa 1936.

Maurycy Schlanger: Idę... Wiersze Skł. Główny Dom Książki Polskiej. Warszawa 1936.

W. Somerset Maugham: Wrota wyzwolenia. Warszawa 1936. Wydawnictwo Współczesne.

M. Van der Meersch: Grzech świata. Warszawa. 1936. Wydawnictwo Współczesne.

Teki Odułok: Na dalekiej Północy. Warszawa 1936. Wydawnictwo Współczesne.

M. Lichnowska: Miłość Delajdy. Warszawa 1936. Wydawnictwo Współczesne.

Józef Jeremski: Włókniarze. Warszawa 1936. Wydawnictwo Współczesne.

Romuald Konopka: Nieszczęście w pałacu. Skład główny w Domu Książki Polskiej. Warszawa 1936.

Helena Mały: Życie jakich wiele. Powieść-dokument w dwóch tomach. Warszawa 1936. Skł. Gł. w księg. Gebethnera i Wolffa.

Julian Tuwim: Treść gorejąca. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Seria nowa biblioteki „Pod znakiem poetów". Warszawa 1936.

Polska w czasie wielkiej wojny (1914-1918). Tom III. Historia społeczna i ekonomiczna. Pod redakcją prof. Marcelego Handelsmana. Wyd. T-wa Badań Zagadnień Międzynarodowych. Warszawa 1936.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3116 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.